№ 29. Warszawa, dnia 5 (17) Lipca 1875 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

WYDZIEDZICZENI

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Ciąg dalszy).

Wydziedziczeni wydziedziczają. Dwa te wyrazy powinny być nakreślonemi na najbardziej widnym punkcie kraju każdego, literami ze złota i purpury, aby silnie ludziom w oczy biły i głęboko w pamięć ich się wrażały. Nic na świecie nie jest silniejszem i bardziej niewzruszonem jak prawo solidarności ludzi pomiędzy sobą, czy to jako jednostek, czy jako grupp jednorodnych lub różnorodnych. Wszelkie zaniedbanie lub pogwałcenie sprawiedliwości zachodzące na jednem miejscu, odbić się musi nieuniknionemi a nieszczęśliwemi skutkami w miejscach innych. Ludy cierpią w ten sposób za ludy, klasy za klasy, osobniki za osobniki. Akord to w którym jedna nietrafnie dotknięta struna zaraża fałszem wszystkie inne. O prawdzie tej wiedzą dobrze wszyscy, którzy choć trochę zastanawiali się nad dziejami przeszłości i społecznemi sprawami: znać ją i wyrozumieć dokładnie wypada w szczególności nam, którzyśmy pono sami jej bardzo wyraźnem i wszechstronnem sprawozdaniem.

Istnieją u nas miejscowości, okolice całe, miasta ludne w których służący lub służąca mniej więcej uczciwi i na obowiązkowych zatrudnieniach swych znający się, są zupełnem niepodobieństwem, mrzonką, niedoścignionym ideałem. Istnieją koła towarzyskie cywilizowane podobno, a tak szczęśliwe i zajmujące iż za jedyny wśród nich przedmiot rozmowy, westchnień i wzajemnych zwierzań się, posługuje zepsucie i nieudolność służących. Istnieje wielka liczba domów, stosunkowo zamożnych, zkądinąd szanownych, w których pomiędzy gospodyniami mianowicie a pomocnikami ich i pomocnicami, wrą nigdy nieustające sprzeczki, łajania, gderania, podejrzenia, wzajemne nieufności, prawie — nienawiści.

Jeśli wejrzymy głęboko w gospodarstwa nasze domowe, przekonamy się jak ważne i liczne szkody wyrządza nam podobny stan rzeczy, pod względem nietylko już materyalnym ale i moralnym. Nieudolność i nieuczciwość tych którymi się wyręczamy, pozbawia nas materyalnej części dóbr naszych; nieufność i niechęć jaką poczuwamy dla ludzi z którymi przestajemy codziennie, powoli lecz nieuchronnie zniża skalę naszych charakterów: wieczne kłopoty i drobiazgowe przykrości, których dla nas stają się oni powodem, wlewa w żywot nasz domowy element trywialnych, bezpłodnych całkiem a jednak nieraz wielce dolegliwych zgryzot. Wydziedziczeni z oświaty wszechludzkiej, ze specyalnej umiejętności, z poczuć moralnych i z moralnego szczęścia, wydziedziczają nas wzajemnie z części mienia naszego, z najkonieczniejszych wygód powszedniego życia, z wielu szlachetnych uczuć i — przyjemnej zabawy częstokroć zatrutej z ich powodu skargami najniższego gatunku, które byłyby arcykomiczne gdyby nie były śmiertelnie nudne.

Złe więc jest na tym punkcie społecznego życia naszego niewątpliwe, wielostronne, zadawnione. Jakiemi na nie mogą być środki zaradcze?

Ci którzy dotąd wyjątkowym bardzo sposobem publicznie przemawiali o palącej tej kwestyi, zapatrywali się na nią z punktu widzenia wyłącznie uczuciowego i bezwzględnie stosunki ludzkie idealizującego: źródło zła widzieli w słabości sympatycznego i wspaniałomyślnego pierwiastku u gospodarzy domów, za jedyny nań środek zaradczy podawali miłość wzajemną, patryarchalne obchodzenie się panów ze służącemi, zalecając pierwszym oświecanie, monitowanie, miłowanie drugich. Były to bardzo piękne, pobożne, wzniosłe życzenia, szkoda tylko iż niedostawało im gruntu realnego, powstałego z poznania różnolitej natury człowieka i stosunków społecznych. Zalecać wzajemną miłość, tam gdzie istnieje wzajemna niechęć, nic zresztą w stosunku dwóch klas nie odmieniając i nie poprawiając, jest tem samem co zapobiegać symptomatom choroby bez poznania i zniszczenia przyczyn jej w skrzywieniu procesu organicznego źródło biorących. Parę praktyk można zapewne w sposób ten szczęśliwie wykonać, ale dla całości społecznego organizmu paljatywne środki nie przydadzą się na nic. Pierwiastek sympatyi i wspaniałomyślności jest siłą niezrównanie cenną, wpływową, dobroczynną, ale wraz z nim istnieje w naturze ludzkiej siła inna — instynkt samozachowawczy tłomaczący się w jednostkach dbałością o interes własny. Gdziekolwiek dwie te siły postawione są naprzeciw siebie, pierwsza zwycięża drugą tylko u wyjątków nielicznych: dla ogółu, druga grozi zniszczeniem pierwszej i niszczy ją stopniowo ale niezawodnie skoro antagonizm trwa długo. Filantropija jest rzeczą piękną, wzniosłą, ale musi koniecznie stanowić dziedzinę organizacyi moralnych wyjątkowo tylko bogatych w bezinteresowne uczucia i dążenia. Przedstawiać ją jako jedyny środek dla rozwiązania kwestyi w której zainteresowane są masy, więc znaczna ilość jednostek średniej miary moralnej i najróżnorodniejszych usposobień, jest to budować gmach przepyszny — w marzeniu. Prawo to zasmucające może ale realne, zaczerpnięte ze znajomości natury ludzkiej nie wymarzonej lecz istotnej. Im wyżej cenimy pierwiastek uczuciowy tem więcej prawdę tę powinniśmy zgłębiać i poznawać, aby siłę wysoko przez nas cenioną nie wprawiać w antagonizm z pierwiastkiem interesu własnego, który obrażany wciąż i zagrażany zniszczyć ją a przynajmniej nadwerężyć musi. Miłość wzajemna zresztą obiega po świecie w postaci wielkiej i drobnej monety. Monetą wielką ulaną z uczuć bezwzględnych, ofiarnych, niezłomnych zamieniamy się z małą liczbą istot wybranych, krewnym nam po cie-

le lub duchu, najpospolitszą zaś jest moneta drobna, czyli życzliwość serdeczna zapewne ale nie wulkaniczna, gotowa do przysług ale nie do ofiar. Owóż życzliwość ta wzajemna będąca najprzystępniejszym i najogólniejszym cementem służącym do spajania pomiędzy sobą różnych grupp ludności, w wielkiem zostaje niebezpieczeństwie, ilekroć nie wspiera ją i nie ochrania wzajemna użyteczność.

W obecnie istniejącym stosunku służących naszych i ich pracodawców, interesa stron obu nie są dostatecznie zadowolnionemi, przeciwnie, bywają one na każdym niemal kroku obrażanemi i zagrażanemi, ztąd i życzliwość pomiędzy niemi wzajemna znajduje się najpowszechniej w stanie zupełnego zagaśnięcia. Przemawianie do uczuć jest więc w tym razie dmuchaniem w zimny popiół. Chcąc robotę zacząć od początku (a tak tylko zaczęta udać się może), należy starać się przedewszystkiem o to, aby dwie klasy ludzi zadowolone były z oddawanych sobie wzajemnie przysług, aby interesy jednej z nich znajdowały rękojmią i słuszne zadowolenie w usposobieniach, uzdolnieniach, w kompetencyi niejako umiejętnościowej i moralnej strony drugiej.

Ostatnie skreślone przez nas wyrazy mieszczą w sobie całe *desiderium* które dla kwestyi będącej w mowie tworzyć można i należy. W podniesieniu skali umiejętnościowej i moralnej, uzdolnień i usposobień służących naszych, spoczywa jedyny środek pogodzenia interesów ich z interesami pracodawców, utworzenia w doli ich równoważnika kompensującego do pewnego stopnia to, co w niej z konieczności twardem być musi, surowem, smutnem. Środek ten skutecznie wytworzonym przez indywidualne starania na żaden sposób być nie może — ale jak każdy krok naprzód do uczynienia trudny, tak każdy oręż mający wywalczać naprawę i postęp rzeczy publicznej — potrzebuje, wymaga — publicznych starań i instytucyi.

Formy w jakie przyoblekać się mają starania te i instytucye mogą być liczne i różne, my jednak mamy w tej chwili na widoku dwie z nich, jak nam się zdaje, najgwałtowniej o istnienie dopominające się i najskuteczniej złemu zaradzić mogące; a mianowicie: szkoły niedzielne i szkoły specyalne.

W krajach przeważnie protestanckich: w Anglji, w większej części Niemiec i w północnych Stanach Ameryki, nic nie jest bardziej upowszechnionem jak nauczanie niedzielne. Moralne znaczenie peryodycznie powtarzających się dni spoczynku jest tam zupełnie inaczej pojmowanem jak u nas. Pora to przeznaczona tam dla wypoczynku ciała lecz zarazem dla skupienia i pracy wewnętrznej myśli i uczuć. W dniu tym ustają roboty i zachody około materyalnego bytu podejmowane, ale jednocześnie milkną też gwarne zabawy i szumne objawy publicznej wesołości. Dla ludzi czytających i komentujących biblią dzień sabatu przechodzi w ciszy i powadze, na czytaniu, rozmyślaniach, poufnych rozmowach rodzinnych, na rachowaniu się z sumieniem własnem, w oderwaniu myśli i uczuć od trosk i pożądań powszednich, drobnostkowych, o podnoszeniu ich ku rozwagom i pragnieniom powszechniejszym, bardziej wszechludzkim. Podobny sposób przepędzania dni niedzielnych, nie nakazany żadnemi władzami, nie narzucony ludności jakiemś arbitralnie ustanowionem prawem, ale wynikający z przekonań i głęboko zakorzenionych obyczajów stanowi w życiu klas średnich a szczególniej najniższych, pierwiastek wysoce umoralniający. Z dni tych usuwa się tam wszystko co sprawić może roztargnienie, pokusę, co budzi namiętności płoche lub chciwe, natomiast skupiają się w nich wszelkie możebne żywioły mogące oświecić i podnieść serca i umysły. Są to niby krople szlachetnego trunku od czasu do czasu mieszane z życiodawczym lecz mętnym nieraz napojem powszedniego bytu: okienka wązkie przez które tłumy zatrudnione wciąż konieczną lecz twardą rzeczywistością, dostrzegać mogą od czasu do czasu rozgrzewający i skrzepiający promyk ideału. Jednym z pierwiastków godnych do zapełnienia dni przeznaczonych na pracę umoralnienia i uszlachetnienia mas, uznaną została w miejscach owych—nauka. Szkoły w których wykładają się mniej lub więcej elementarne wiadomości naukowe i wszystkim przystępne a konieczne prawdy praktycznej moralności, stoją tam każdej niedzieli otworem dla wyrobników, dla wszech rodzin maluczkich, ubogich, skołatanych, którzy ku nabywaniu wiedzy w dnie powszednie, ani czasu, ani środków materyalnych, ani myśli swobodnej nie mają. W Ameryce północnej, w Anglji, w niektórych miejscowościach Niemiec, niepodobna znaleźć najmniejszego miasteczka któreby nie posiadało szkół niedzielnych dla rzemieślników, wyrobników, służących. W miastach większych i ludniejszych istnieją sale które peryodycznie, co siódmy dzień, zgromadzają w sobie setki, tysiące dorosłych, posuniętych nawet w wieku słuchaczy obu płci, różnych lecz zawsze skromnych, mozolnych powołań.

U nas, dnie niedzielne nie są dla służących naszych dniami ani spoczynku, ani nauki. Pracują oni w dnie te tak jak i w powszednie, jeżeli zaś, sposobem wyjątkowym, uwalniają się na kilka godzin od obowiązkowych swych zatrudnień, to dla tego aby brać udział w zabawach, które w skutek niskiego wielce stanu swego umysłowego i moralnego, ani uszlachetniającemi ani prawdziwie skrzepiającemi uczynić nie są w stanie, przeciwnie nawet, czerpią z nich najczęściej żywioły zepsucia i zgubnych nałogów. Istnieją wprawdzie w dnie świąteczne godziny poświęcone obrzędkom religijnym, pociągające masy ku modlitwie i kazalnicom, ale wszyscy wiemy dobrze, o ile modlitwa czczą tylko i suchą formą być musi wszędzie, gdzie ku przerobieniu ją na dźwignią i pociechę duchową, nie dostaje odpowiednich władz czucia i myślenia. Co zaś do kazalnic, te tłomaczą ludowi dogmaty religijne i zalecają mu spełnianie przepisów kościelnych ale sprawami powszedniemi, mającemi związek z codziennem życiem, z codziennemi obowiązkami i praktyczną moralnością ludu nie zajmują się, po miastach szczególniej, nigdy prawie. Ostatniego faktu tego nie krytykujemy, konstatujemy go tylko w celu wykazania koniecznej potrzeby wytworzenia środków mogących w ludzie naszym stworzyć pojęcia i rozwinąć uczucia, które dzielnie dopomódzby mu mogły do korzystania z samych sił podnoszących i pocieszających dostarczanych mu przez kościół.

(d. n.)

MARZENIA MŁODEJ DZIEWICY,

RZECZ OPOWIEDZIANA

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Dokończenie).

Nazajutrz po wyżej opisanych wypadkach Henryka udała się do pokoju, w którym miała nadzieję spotkać ojca. Jej oczy głęboko zapadłe, zsiniałe usta, niepewny i chwiejący się krok, okazywały, iż przepędziła noc bezsenną. Pomimo jednak tych oznak zewnętrznych, postanowienie ojca zbliżające dzień ślubu natchnęło ją nową, nieznaną dotąd energiją: upadnie do nóg jego, wyzna mu wszystko, a wyznanie to ulży strasznym i niewypowiedzianym cierpieniom. Żyć tem życiem jakiem ona dotąd żyje, dłużej niepodobna!...

Hrabia R*** znajdował się sam jeden w zajmowanem przez siebie mieszkaniu. Przyniesione z poczty gazety leżały nietknięte na stole; pośród mnóstwa papierów widniał rozpieczętowany przed chwilą i pomięty list. Groźna twarz ojca, zmarszczone czoło, gniew malujący się w oczach zapowiadały w wysokim stopniu rozdraźnienie. Gdy Henryka wchodziła do salonu, sięgnął ręką po owe pismo.

— Ojcze mój! wyjęknęła drżącym głosem.

— To ty Henryko? przerwał ostrym tonem — dobrze żeś przyszła, bo miałem właśnie posłać po ciebie. Oto jest dziwny list który odebrałem od Piotra, od tego którego ci za małżonka przeznaczyłem: przeczytaj go.

Henryka machinalnie odebrała pismo z rąk hrabiego R***.

Zawierało ono następujące wyrazy:

„Panu hrabiemu dobrze wiadomo ile kocham pannę Henrykę. Nieograniczone uczucie przywiązania jakie mam dla niej, jest mi droższem jak wszystko na świecie, a dzień w którym mógłbym z nią połączyć swe losy, byłby najpiękniejszym dniem mego życia, ale szczęście tej którą ukochałem, całą potęgą mej duszy więcej cenię jak swoje własne szczęście. Panie hrabio, jego córka mnie nienawidzi, a chociaż mi tego nigdy nie powiedziała jednak ja ową nienawiść w całem jej postępowaniu aż nadto uczułem. Nie jest to choroba rozdrażnieniem nerwowem spowodowana jak mylnie twierdzi doktór, ale rozpacz która ją niezawodnie zaprowadzi do grobu, jeżeli odpowiednie środki ku usunięciu przyczyny tak smutnego położenia nie zostaną przedsiewzięte. Jedyny środek do uskutecznienia tego jest pozostawić jej wolny wybór.

Zechciej pan hrabia przeczytać to pismo swej córce, a jeżeli ona powie wtedy żem się omylił — ah! z jakąż radością padnę jej do nóg prosząc o przebaczenie za myśl, którą tylko prawdziwa miłość i obawa o jej własne szczęście wyrodzić mogły.

Piotr M***.“

— No, i cóż powiesz na to? zapytał hrabia R*** Przeczytałaś ów list i przekonałaś się iż treść jego mogę uważać za osobistą obrazę, jeżeli ty nie wytłomaczysz mi tej zagadki. Więc wyznaj szczerze, otwarcie, czy powód podany był rzeczywistym, prawdziwym? Czy w istocie nienawidzisz tego którego ci przeznaczyłem za małżonka?... Ale mów, mów prędzej — wszak widzisz że jestem doprowadzony do ostateczności i muszę wiedzieć jaką odpowiedź mam dać hrabiemu Piotrowi, który tu nadejdzie za chwilę...

— Ojcze mój! wyjęknęła Henryka.

— Mów, słucham cię! dodał tłumiąc wewnętrzny gniew pan R***.

— Ojcze mój, ja do niego nie czuję żadnej nienawiści.

— A więc skłamał przede mną, więc to jest tylko niegodny wykręt ażeby się cofnąć, a nas okryć wstydem i hańbą! — zawołał z najwyższym gniewem starzec.

— Kochany ojcze nie gniewaj się na niego: on w niczem nie zawinił. W wyrazach listu jest wiele prawdy — nie czuje do pana Piotra nienawiści, ale....

— Ale co?.. mówże na miłość boską!

— Ale on nigdy nie zdoła zapewnić mi szczęścia.

— Wytłomacz mi co znaczą te słowa.

— Znaczą... znaczą... że on nie jest tym którego kocham, wyrzekła młoda dziewica, zakrywając twarz rękami.

— Co? krzyknie hrabia przyskoczywszy do córki, i chwytając ją za obie ręce. Co? powtórzył— nie on, a więc jest ktoś drugi!

— Ojcze przebacz! zawołała Henryka padając mu do nóg.

— Więc to prawda! więc to jest powodem twojego postępowania z Piotrem. Kochasz innego: kto on? kto on taki — powiedz — muszę natychmiast wiedzieć jego nazwisko.

Nie była w stanie wyrzec ani jednego słowa: głośne łkanie stłumiło jej głos.

— Jego nazwisko! jego nazwisko'... powtarzał starzec z wściekłością posuniętą do ostatecznych granic.

— Nie wymagaj tego najdroższy ojcze, a raczej pozwól mnie biednej, nieszczęśliwej córce, ażeby resztę dni swego życia przepędziła w klasztorze.

— Nakoniec któż on jest... ten człowiek? Ten... którego kochasz, dodał z przygnębieniem.

— Oh!... o nie pogardzaj mną, ale raczej ubolewaj nad nieszczęśliwą. On.... jest narzeczonym mojej siostry.

— Mieczysław! zawołał z rozpaczą. Ależ nie, to jest rzeczą niepodobną. Przyszły mąż Zofji, brat tego który... chyba własny słuch mnie omylił.

I stary hrabia przerażony, w bezwiednem osłupieniu nie umiejąc sobie zdać sprawy z ciosu który weń tak nagle uderzył, spoglądał na klęczącą u nóg swoich córkę. Nareszcie wzruszony jej łzami, wyrazem boleści jaki malował wewnętrzne męczarnie przygnębionej duszy, wyciągnął do niej ramiona, i przycisnął drżącą, spłakaną do swojej piersi.

* * *

Gdy pierwsze chwile rozdrażnienia przeszły, hrabia R*** wybadał córkę z wszystkich okoliczności towarzyszących rozwojowi tej niewytłomaczonej dla niego namiętności. Mówił do niej łagodnie, pobłażliwie, niemal czule. Henryka opowiedziała ojcu jak salonowy sposób wzięcia się i towarzyskie przymioty Mieczysława wywarły na nią głębokie wrażenie, wyjawiła jak ów zaród uczucia rosnąc stopniowo owładnął całkowicie jej sercem, wynurzyła wszystkie obawy, troski i zwątpienia przez które kolejno przechodziła począwszy od niepewności aż do chwili złudnego szczęścia, wtedy gdy powzięła od siostry pierwszą wiadomość o zamiarach dwóch braci. Mieczysław jednakże nie dał żadnego powodu do mniemania iż wyróżnia ją od innych dam bywających w salonie ciotki; grzeczności które od niego słyszała były z rodzaju tych jakie są zwykle w użyciu — jednem słowem, nigdy nie okazał w postępowaniu swojem nic takiego, coby mogło dać podnietę do wzniecenia owej dziwnej, tajemnej i niezbadanej namiętności. To ją właśnie czyniło najwięcej nieszczęśliwą. Ciągłe skupianie myśli w jednym kierunku sprawiło, iż na pierwszą wieść o projektowanem małżeństwie sądziła że to on poszukuje jej ręki. Kto czego mocno pragnie, ten zawsze wierzy w wypełnienie własnych nadziei. Kreśląc przed słuchającym ją z natężoną uwagą ojcem cały obraz wewnętrznych swych wrażeń, odkrywając przed nim najtajniejsze myśli, niepominęła i uczucia prawdziwej wdzięczności jaką miała dla hrabiego Piotra. Ona nie była tyle zaślepioną, ażeby nie ocenić szlachetnej delikatności swego narzeczonego, ona rozumiała jego miłość, litowała się nad cierpieniami, pragnęła jem zaradzić, wiedziała ile ten wzniosły charakter godnym jest uznania, ale pomimo wszystkiego ona go kochać nie mogła!

Hrabia R*** nie był w stanie słuchać bez wzruszenia tego wyznania. Ów bolesny przebieg cierpień ukochanego dziecka, wywołał w sercu przywiązanego ojca tkliwe współczucie. Gdy skończyła starał się przemówić do niej słowami rozsądku, wystawić o ile bezzasadnem było żywienie nadziei której nic usprawiedliwić nie zdoła, ilę zresztą nierozsądnem a nawet zdrożnem stało się to uczucie z chwilą gdy w Mieczysławie ujrzała narzeczonego własnej siostry.

— Należy, dodał, powziąść silne i niezłomne postanowienie; oddalić podszepty rozgorączkowanej wyobraźni a iść za głosem rozumu. Wierzaj doświadczeniu starego ojca: nie serce to lecz wyobraźnia tylko główną odgrywa rolę. Utworzyłaś sobie ideały które przyjęłaś za rzeczywistość, a postępując po tej ślizkiej choć ponętnej drodze, popadłaś w złudę omamienia. Całe to uczucie jest niczem więcej jak tylko mrzonką twoich własnych myśli: tyś nigdy Mieczysława nie kochała...

— Ja go nie kocham! zawołała Henryka składając ręce.

— Nie kochasz go. Owładnięta imaginacyą, obdarzyłaś prozaicznego młodzieńca wszystkiemi przymiotami jakie posiada wymarzony przez ciebie ideał. Dałaś mu serce wierne i pełne poświęcenia, duszę energiczną, charakter szlachetny, kiedy on tymczasem jest tylko bardzo miłym młodym człowiekiem, posiadającym dar podobania się w towarzystwie, prowadzenia zajmującej rozmowy, lecz niezdolnym do podzielania wszelkich głębszych uczuć. Mąż którego przeznaczyłem dla lekkiej pustej, biorącej życie z powierzchownej strony Zofji, nie zdołałby zapewnić szczęścia tobie mającej wprost przeciwne usposobienie. Ja wiem dobrze co moim dzieciom potrzeba do zapewnienia im przyszłej pomyślności, i ustalę ich los nie zważając na chwilowy obłęd. Kiedyś, i to nie długo, gdy poznasz charakter Piotra otworzą ci się oczy, i sama mi podziękujesz żem nie mając względu na szał przelotny, dał ci za towarzysza człowieka z równym twojemu poglądem, z równą mocą i stałością charakteru: człowieka który cię będzie kochał, tak jak nigdy brat jego kochać nikogo nie zdoła.

Henryka słuchała w milczeniu, a każdy wyraz wychodzący z ust ojca, napełniał jej serce niewypowiedzianą boleścią.

Czyliż mogła do tego stopnia się zaślepić? Czyliż wszystkie przymioty które widziała w Mieczysławie były tylko utworem jej własnej wyobraźni — czyliż nakoniec ową nieograniczoną miłość jaką dla niego uczuła należało nazwać fikcyą, mrzonką lub fałszem? O nie, to było zupełnie niemożliwem: przypuszczenie nawet samo podobnej anomalji raziło jej myśl swoją potwornością...

— A więc, zakończył hrabia R***, rzecz postanowiona. Otrzej łzy, wypogódź czoło, bóć przecież wiesz dobrze, iż ja który cię kocham nad życie, nie chciałbym stać się przyczyną twego nieszczęścia. Za dwa tygodnie Piotr zostanie twym mężem.

— Ojcze, zlituj się nade mną — cofnij to postanowienie! zawołała Henryka ze łzami rzucając mu się do nóg.

—Nigdy nie zmieniam raz powziętego zamiaru, odrzekł starzec poważnym i stanowczym tonem; zapewnię ci szczęście nawet pomimo twej woli. Idź, i pamiętaj o tem, iż bezwarunkowe posłuszeństwo jest pierwszym obowiązkiem dziecka dla swojego rodzica. Ślub twój z Piotrem odbędzie się za dwa tygodnie.

— Ah... ja umrę!

— Będziesz żyła i zostaniesz szczęśliwą: wiem co czynię. Teraz mnie zostaw samego— muszę się widzieć z twym przyszłym po którego posłałem.

Wymawiając ostatnie wyrazy pocałował ją w czoło. Ona spłakana, zgnębiona, opuściła pokój.

Wkrótce po jej odejściu zjawił się Piotr.

— Panie hrabio, rzekł do wchodzącego wyciągając do niego rękę — od chwili poznania się naszego pozyskałeś mój szacunek, dziś zaufanie jakie pokładam w twoim charakterze utrwaliło się jeszcze więcej. Nie, panie hrabio — córka moja nie ma do ciebie nienawiści jak sądziłem widząc ciągły jej smutek. Usposobienie Henryki z zupełnie innej pochodzi przyczyny, przyczyny która zniknie po sześciu miesiącach małżeńskiego pożycia. Więcej powiem: nie tylko ona nie czuje do swego przyszłego żadnej niechęci, ale owszem przejęta jest najżywszą wdzięcznością za jego niezłomne i niczem niezachwiane przywiązanie. Mojem zdaniem podobne uczucie graniczy prawie zawsze z miłością.

Słysząc powyższe wyrazy, Piotr który całe szczęście życia pokładał w tym związku, odżył w swoich nadziejach; zdało mu się jakoby przygniatający ciężar zwątpienia spadł z jego piersi.

Upojony rozkoszą rzucił się na szyję przyszłego swego teścia, a jeżeli wzruszenie jakiego doznawał nie dozwoliło mu znaleść odpowiednich wyrazów na odmalowanie wewnętrznych wrażeń, to łza spływająca po jego policzkach, stanowiła aż nadto dotykalny dowód, ile mu drogiem było wypełnienie najgoretszych życzeń serca.

. . . .

W terminie oznaczonym przez hrabiego R*** Henryka została żoną Piotra, a Mieczysław połączył się dozgonnemi śluby z jej siostrą Zofiją.

Nie jedna z czytelniczek moich doszedłszy do tego peryodu niniejszej powieści zawoła z oburzeniem: Biedna Henryko!... ah cóż to za okrutny ojciec!

I miałaby najzupełniejsze prawo to powiedzieć, gdyby dramat opowiadany przeze mnie zakończył się podobnym faktem.

Na szczęście jednak pozostaje rozwiązanie.

Bądźcie więc cierpliwemi dobre czytelniczki moje, i posłuchajcie do końca.

* * *

Od chwili opisanych powyżej wypadków upłynęło dwa lata.

Dwuletni przeciąg czasu nam którzy w gorączkowym chaosie wrażeń przywykliśmy biedz ciągle naprzód i naprzód, nie zdając sobie rachunków z czynników życia, nie spoglądając po za siebie, przedstawia się jako drobny atom przeszłości, który raz minąwszy zaledwie jedno krótkotrwałe po sobie zostawi wspomnienie. Jednakże ileż to w przebiegu dwóch lat zachodzi zmian, przeobrażeń, wzrostów i upadków! Nie sięgając dalej spojrzyjmy tylko w głąb serc naszych, zbadajmy tajniki duszy, zespólmy się z przebiegiem myśli, a nabierzemy przekonania, iż ów krótki na pozór peryod życia, uważany przez nas za małoznaczną chwilkę istnienia, był rzeczywiście całą epoką dziejów żywota. Jak w naturze wszystko przeradza się stopniowo, tak i w sercu człowieka z przygaśniętych wspomnień wypleniają się przebiegiem czasu nowe myśli, nieznane przedtem wrażenia, odrodzone przeistaczaniem duchowem uczucia.

Takie są zwykle koleje życia ludzkiego.

I znowu podobnie jak w początkach niniejszego opowiadania, jaśniał w całej potędze uroku natury, rozkoszny dzionek majowy. Była godzina jedenasta z rana. Słońce podniosłszy się wysoko na horyzoncie wypiło błyszczące wśród trawek kropelki rosy, i zaczęło coraz mocniej dogrzewać; ustał wietrzyk poranny, ścichło echo po gajach, a ich miejsce zastąpił życiodawczy cieplik wiosny, rozbudzający zewsząd bujną roślinną wegetacyę.

Po trakcie bitym prowadzącym z miasta Ostrowa do dóbr hrabiego R*** toczył się mały podróżny koczyk zaprzężony w czwórkę dzielnych pocztowych koni. Na przodzie siedziała kobieta lat dwudziestu kilku, w czystem schludnem ubraniu jakiego zazwyczaj używają wielkopolskie włościanki, trzymająca na ręku dwunasto-miesięczne dziecko, zdrowe, tłuste, rumiane. Dwa miejsca w głębi powozu zajęte były przez młodą damę i starszego cokolwiek od niej mężczyznę, spoglądających z miłością i rozkoszą na uśmiechające się do swej mamki dziecię. Wyraz

szczęścia, zadowolenia wewnętrznego i zachwytu jaki wypłynąć tylko może z zaspokojenia najgorętszych życzeń serca, jaśniał na ich twarzach. Nie mówili do siebie lecz milczenie ich stokroć razy okazywało się wymowniejszem niżeli wszelkie wyrazy.

Nareszcie na boku traktu zazieleniały rozłożyste drzewa angielskiego parku, wśród których widać było wysoko wybiegające w górę wieże pałacu hrabiego R***.

Pocztyljon zwrócił konie w szeroką, topolami wysadzaną aleję, przytknął trąbkę do ust i wygłosił na niej jednę z tych wesołych pobudek, jakiemi zwykle przewodnicy pocztowi witają kres podróży.

Młoda osoba wychyliła głowę z kocza, i ściskając dłoń swego towarzysza, zawołała wzruszonym głosem:

— Patrz najdroższy... oni tam są — oni czekają na nas!

Wzrok jego spoczął z miłością na ukochanej, poczem przyciągnąwszy w swoje objęcia zarumienioną uczuciem szczęścia, ucałował ją czule.

Chwilę potem pojazd zatrzymał się przed gankiem pałacu.

Hrabia R*** i Zofija zbiegli szybko z marmurowych schodów.

Mieczysław postępował zwolna za niemi.

— Ojcze!

— Siostro!

— Córko!

I trzy okrzyki wybiegające z trzech piersi zlały się w jeden akord serdecznego powitania.

Kiedy Mieczysław zbliżył się z kolei do Henryki, ona z braterską poufałością ujęła go za obie ręce, nie tracąc przy pozdrowieniu tem owej swobody z wypełnienia wszystkich życzeń serca wypływającej, którą uważaliśmy w niej od samego początku nowej fazy w jaką wstąpiło jej życie.

Rozkoszne dziecię pieszczone, podawane z rąk do rąk, uśmiechało się do wszystkich jak gdyby zgadując ile obecność jego jest drogą każdemu.

Młoda matka promieniała radością.

Po śniadaniu Mieczysław pożegnał rodzinę, pilny albowiem interes, który odłożył dla powitania brata i jego żony, zmusił go natychmiast udać się do Poznania.

Gdy odjechał, Zofija otarła skrycie łzę spływającą po jej policzkach.

Po chwili obie siostry znalazły się w tej samej ogrodowej altance, w której je widzieliśmy przy początku niniejszego opowiadania.

Dwa lata ubiegłe nie przyniosły żadnej zmiany w owem cichem ustroniu. Gałęzie tylko drzew otaczających miejsce odpoczynku, wybujały na wszystkie strony nowemi odroślami, a liście powoju rozszerzając się coraz więcej dawały coraz większy cień.

Na pozór wszystko było tak jak dawniej, a przecież ileż tam zmian zaszło!

Henryka patrzyła na siostrę z czułą litością, Zofija zbierała całą moc ducha ażeby okazać spokój i zadowolenie.

— Nie, ty nie jesteś szczęśliwą, najmilsza moja — rzecze pierwsza starając się zgłębić myśli tej która była tak drogą jej sercu. Przed chwilą gdy Mieczysław odjeżdżał dopatrzyłam łzę w twych oczach: tak ty płakałaś, a obecnie im uważniej się wpatruję w ciebie tem większego nabieram przekonania, iż zobopólne nasze położenie odwróciło się w odwrotnym kierunku.

— Mylisz się Henryko — odrzekła Zofija usiłując wszelkiemi sposobami wzmocnić swój głos: ja nie mam żadnego powodu do zmartwienia.

— Teraz kolej na mnie powiedzieć ci: miej zaufanie w siostrze, powierz jej swoje troski, gdyż cierpisz, i potrzebujesz podzielić twój smutek z tą, która ci pomoże do znoszenia jego ciężaru.

Usłyszawszy to serdeczne wezwanie, młoda kobieta rzuciła się w jej objęcia, tuląc swą głowę na pierś ukochanej, zupełnie tak samo jak przed dwoma laty w temże miejscu uczyniła Henryka.

Role ich zmieniły się!

— Czyliżby twój mąż dał ci powody do zmartwień?

— Cicho, na miłość boską cicho, bo gdyby nasz ojciec wiedział o tem on by go zabił! Mieczysław pojechał do Poznania — dodała nachylając się do ucha siostry: tam go wzywają dwie sprawy. Ja je znam obiedwie: jedna tyczy się nadwerężonego majątku, druga.... ah druga, zatruwa mi spokój i szczęście całego życia!

— Wielki Boże, co ja słyszę!

— Mój mąż w ostatnich czasach rzucił się do spekulacyi giełdowych i stracił na nich przeszło sto tysięcy talarów — pragnie więc odzyskać tę stratę nowym jakim pieniężnym obrotem. Oto jest pierwszy powód jego wyjazdu. Ale zkądże zapytasz mnie nabrał on tej namiętności do gry ryzykownej—gry w papiery publiczne, kiedy poprzednio wyrażał się zawsze z pogardą o podobnych spekulacyach? Zkąd? bo jemu potrzeba zawsze i ciągle pieniędzy na zaspakajanie wymagań niegodnej kobiety, która nim zawładnęła.

— Co słyszę! Mieczysław poświęca ciebie dla jakiejś awanturnicy i traci na nią majątek?

— Związki te trwają od lat dwóch blisko. Wkrótce po naszym ślubie, wtedy gdy przybyłaś z mężem do Włoch, jakaś niemka którą znał był dawniej jeszcze w Paryżu, spotkała się z nim przypadkiem w wagonie kolei żelaznej, gdy jechał odwiedzić chorą matkę znajdującą się na kuracyi w Berlinie. Chwilowa słabość zdrowia nie pozwoliła mi wtedy towarzyszyć mu. Od tego czasu zaczęły się moje cierpienia. Traci on dla niej mój majątek, poświęca moją miłość, mój spokój, moje szczęście, wszystko — a ja, trawię w cichości swą rozpacz, zmuszona ukrywać łzy cisnące się do powiek z obawy ażeby nasz ojciec, którego znasz nieugięty charakter, nie dowiedział się prawdy. O najdroższa siostro, jakże mój los jest okropnym!... w trzy miesiące po ślubie opuszczona od męża, poniżona w najświętszych uczuciach serca, zrównana z podłą i plugawą istotą, nie mam nic, zupełnie nic, coby mnie mogło jeszcze przywiązywać do życia.

Głośne szlochanie przerwało jej mowę.

Henryka wzruszona do głębi duszy strasznym obrazem katuszy ukochanej siostry, płakała z nią razem.

— Ależ ty przynajmniej, rzecze po chwili uspokoiwszy się nieco Zofija — jesteś szczęśliwą. Z tego com widziała mam prawo mniemać, iż przeznaczenie które się dla mnie okazało tak okrutnem, ochroniło cię od zawodów i zmartwień.

— Gdyby nie obawa być posądzoną o przesadę, powiedziałabym ci że nie ma na całej kuli ziemskiej szczęśliwszej ode mnie istoty. Mój mąż jest wzorem doskonałości. Nie posiada on wprawdzie salonowych przymiotów swego brata, nie błyszczy dowcipem jak Mieczysław, nie tańczy ani śpiewa tak pięknie, nie umie prowadzić tak ożywionych rozmów w towarzystwie, ale za to grunt charakteru jego jest szlachetny i cnotliwy, serce pełne poświęcenia, dusza wzniosła, zdanie wytrawne i rozumne. Nie ma dnia, nie ma godziny w którejbym nie dziękowała Bogu za to że mi dał takiego męża.

— Kochasz go?

— Całą potęgą moich uczuć.

— Masz słuszność, zobopólne położenie nasze przeistoczyło się we wszystkiem — wyjęknęła Zofija złamanym głosem. Ale powiedz mi, dodała po chwili, dla czego gdy Piotr starał się o twoją rękę przyjmowałaś go ozięble, z niechęcią, a nawet z pewnym rodzajem wstrętu? Byłaś wtedy smutną, bladą, jakby zrozpaczoną — gdy dziś radość błyszczy w twoich oczach, a rumieńce zdrowia rozkwitają na licach?

— Dla czego, pytasz? Bo w owym czasie czyniłam tak jak czynią owi zaślepieni o których pismo święte mówi: mają uszy a nie słyszą, mają oczy a nie widzą. Biorąc ułudę wyobraźni za uczucie, utworzyłam sobie ideał, nie pomnąc że miłość nie oparta na rozsądku jest tylko chwilowym obłędem zmysłów, czczem marzeniem które lada wietrzyk chłodnej rzeczywistości rozwieje. Wtedy kochana Zofijo byłam szaloną.

— A teraz?

Ostatni wyraz wymówił Hrabia R*** który równie niespodziewanie jak przed dwoma laty, zjawił się w ustronnej altance ogrodu.

Tym razem jednak towarzyszył mu Piotr.

Sposób w jakim to zapytanie uczynionem zostało, rozpromienione radością twarze teścia i zięcia, okazywały aż nadto iż nowo przybyli tylko ostatni peryod z przytoczonej powyżej rozmowy usłyszeli.

— Teraz — odpowie Henryka — pomiędzy ojcem, mężem, dziecięciem i siostrą, czuję się najszczęśliwszą kobietą na świecie!

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Ze Lwowa.

(dokończenie).

Przed kilkunastu laty, gdy odkryto pierwsze obfite pokłady nafty i wosku ziemnego, powszechnie wróżono Galicyi świetne dochody z tej nowej gałęzi przemysłu. Nadzieje tylko w części ziściły się dotąd. Właściciele gruntów posiadających w sobie naftę zrobili niezłe interesa, ale kraj nie wiele na tem zyskał. Włościanie bowiem, których grunta zakupili przedsiebiercy, nie podnieśli się w dobrobycie lecz owszem strwonili w krótkim czasie gotówkę i zasilili szeregi niebezpiecznego proletaryatu. P. Windakiewicz naocznie sprawdził to spostrzeżenie i przytoczył ciekawe przykłady w tej mierze. Jeden włościanin np. sprzedał swój grunt za 8,000 złr., pojechał z temi pieniędzmi do Wiednia, strwonił je całkowicie i powróciwszy do wsi rodzinnej, kręci korbą u żyda wydobywającego naftę na jego gruncie! Włościanin, który nie sprzedał całego gruntu lecz tylko część, nie włożył otrzymanej gotówki w gospodarstwo i w skutek tego mimo wybornej sposobności do poprawienia bytu materyalnego, popadł faktycznie w daleko większą nędzę.

Spodziewano się dalej, że przemysł naftowy dostarczywszy zarobku, wytworzy liczną klasę robotniczą, zadowoloną ze swego losu i posiadającą warunki stosownego utrzymania. Tymczasem z nader małemi wyjątkami, robotnicy w kopalniach są prawdziwemi nędzarzami, bo przedsiębierca wyzyskuje ich nielitościwie i wódką pokrywa znaczną część zapłaty dziennej.

Cały nasz przemysł naftowy z wyjątkiem jednego powiatu spoczywa w rękach podobnych lichwiarzy.

Znaczniejsi kapitaliści nie chcą wziąść się do dzieła w sposób systematyczny, bo to byłoby czystą stratą wśród dzisiejszych stosunków. Nafta bowiem nie należy do rzędu artykułów, których wydobywanie z ziemi podlega przepisom ustawy górniczej. W skutek tego wolno każdemu wydobywać naftę w jakikolwiek sposób i na jakiejbądź przestrzeni. Jestto główne źródło złego, bo żadna ekploatacya górnicza nie może się rozwinąć bez oznaczenia tak zwanej miary górniczej, t. j. bez wyznaczenia *minimum* przestrzeni, na którem prowadzone być może jedno przedsiębier-

stwo. Dziś posiadający kilkaset złotych, kupuje maleńki kawałek gruntu, wywierci jamę i wydobywa naftę tak, ażeby najprędzej odzyskał kapitał z dobrym procentem. Nic go to nie obchodzi, że w skutek wadliwego założenia kopalni robotnicy narażeni są co chwila na utratę życia lub kalectwo, że z tego samego powodu kopalnia w krótkim czasie mimo obfitości źródła musi być zaniechaną. Otrzyma on kapitał z sowitym procentem i to go zadowolni zupełnie.

Znużylibyśmy bardzo czytelnika, gdybyśmy szczegółowo chcieli wykazać, dlaczego dzisiejszy tryb eksploatacyjny zamiast podnieść tę gałąź przemysłu, marnuje te skarby ziemi i nie wytrzymuje konkurencyi z produktem amerykańskim, dlaczego zamiast podnieść dobrobyt ludu wiejskiego często go demoralizuje, i niszczy zupełnie. Dość nam wiedzieć że wśród dzisiejszych stosunków, z braku przepisów regulujących umiejętnie eksploatacyą nafty, nie mogą powstać i rozwinąć się znaczniejsze przedsiębiorstwa, a w skutek tego Ameryka wciąż będzie nam odbierać krociowe a nawet milijonowe dochody. Corocznie sprawa ta pojawia się w sejmie ale bez skutku widocznego. Zarząd wskazał w jaki sposób chciałby tę sprawę uporządkować, sejm jednak nie zgodził się na to, bo widział w tem łagodny zamach na prawo własności. Ale bez takiego zamachu, a raczej bez rozumnego i umiarkowanego ścieśnienia własności sprawa ani na krok naprzód nie postąpi. Czy istniałyby koleje żelazne, gdyby prawo własności było w tem znaczeniu nietykalnem, że właścicielowi kawałeczka gruntu wolno bajecznemi cenami udaremnić dzieło pożyteczne dla ogółu? Gdyby Galicya posiadała potrzebne kapitały i nie potrzebowała ściągać je dopiero z zagranicy, opinija sejmu prędzej dałaby się pogodzić z wymaganiami samej sprawy. Ale wśród danych stosunków może ona zgubne wydać owoce.

W roku bieżącym w jesieni wchodzi w życie instytucya publiczna, której co do celu i rozmiarów nie dorówna żaden inny zakład dobroczynny w Galicyi, której pozazdrościć nam może nawet zagranica. Mamy tu na myśli fundacyę ś. p. Stanisława hr. Skarbka tworzącą zakład sierot i ubogich w Drohowyżu, wsi odległej od Lwowa kilka mil drogi żelaznej. Kilkadziesiąt lat czekaliśmy na wprowadzenie w życie tej fundacyi, publiczność zniecierpliwiona powolnym postępem prac przygotowawczych i budowy gmachów w Drohowyżu, zaczęła otwarcie sarkać a dziennikarstwo poszło dalej bo z nieubłaganą bezwzględnością zaczęło przed dwoma laty roztrząsać postępowanie kuratora ks. Karola Jabłonowskiego zarzucając mu czyny niegodziwe. Nie chcemy zastanawiać się nad słusznością wszystkich tych zarzutów i badać właściwe powody zwłoki. Dziś cieszyć się tylko wypadą, że wreszcie wspaniałe dzieło przyszło do skutku, z wielką zatem przyjemnością spełniamy obowiązek sprawozdawczy przedstawiając czytelnikom cel, charakter i rozmiary fundacyi.

Ś. p. Stanisław hr. Skarbek zasłużył sobie, ażeby po wieczne czasy zajmował pierwszorzędne stanowisko w rzędzie ludzi poświęcenia, przyjaciół ludzkości i dobrodziejów własnego kraju. Patrząc na dzisiejsze samolubstwo, któremu nauka ekonomii politycznej, nadała stanowisko ważnego czynnika pracy i pomyślności społecznej, a życie praktyczne pozwoliło swobodnie i wygodnie rozgościć się w każdym kierunku, prawie niepodobna uwierzyć, że jeszcze przed czterdziestu laty żył w kraju naszym mąż poświęcający milijonowy majątek na założenie pierwszorzędnego teatru polskiego we Lwowie i utworzenia wielkiego zakładu dla sierot i ubogich w Drohowyżu. Teatr przyniósł już spodziewane korzyści; — odegrał znakomitą rolę w dziejach umysłowego rozwoju Galicyi. Na błogie skutki zakładu Drohowyżkiego nie będziemy długo czekać. Już w tym roku osłodzi on niedolę wielu nędzarzom, a za kilka lat wyjdą stamtąd sieroty wykształcone w zawodzie praktycznym tak, że będą użytecznemi członkami społeczeństwa.

Do ubogich, którzy mogą być przyjęci do zakładu, zalicza statut tych, którzy nie mają żadnych środków utrzymania i albo dla wieku albo ułomności swoich nie mogą pracą zapewnić sobie środków utrzymania. Wymagany w statucie wiek wynosi 60 lat u mężczyzn a 50 u kobiet. Ubodzy dotknięci ciężką słabością lub cierpieniem chronicznem wymagającem nieustannie pomocy lekarskiej nie będą przyjmowani do zakładu, a jeżeli dopiero w zakładzie popadli w taką chorobę umieszczonemi zostaną w szpitalu lwowskim. Więcej dla rozrywki niż dla jakiego przedsiebierstwa ubodzy w zakładzie używani będą do lżejszych zatrudnień: przędzenia, darcia pierza i t. d. Zakład drohowyżki będzie przyjmował stopniowo ubogich w takiej liczbie, ażeby z czasem w miarę środków wystarczających dał przytułek 400 osobom. Na razie przygotowano umieszczenie na 50 osób obojej płci.

Nierównie ważniejszym jest dział sierot. Zakład ma pomieścić z czasem 600 sierot obojej płci, a na razie przyjmuje 250 chłopców i 150 dziewcząt. Pierwszeństwo mają sieroty bez ojca i matki pozbawione dostatecznego utrzymania. W braku takich sierot przyjmowane będą do zakładu także dzieci mające wprawdzie rodziców ale tak ubogich, że ich utrzymać nie mogą. Wiek wymagany wynosi według statutu dla chłopców 7 — 10 lat, a dla dziewcząt 6 — 8 lat. Sieroty umieszczone w zakładzie pobierać będą naukę w przedmiotach przepisanych dla publicznej szkoły pospolitej, z należytem uwzględnieniem gimnastyki, śpiewu, muzyki, a szczególnie rysunków. Nauka elementarna trwa lat cztery, jeżeli przyjęte do zakładu dziecię nie posiada żadnych wiadomości przygotowawczych. Sieroty obojej płci pobierają naukę, w pierwszych dwóch latach wspólnie, a w obu wyższych klasach oddzielnie. Każda klasa posiadać będzie osobnego nauczyciela a oddziały dla dziewcząt w dwóch wyższych klasach, oddane będą osobnym nauczycielkom. W najwyższych dwóch klasach mogą być nauczyciele lub nauczycielki. Nauka obejmuje w dwóch niższych klasach 22 a w dwóch wyższych najwięcej 26 godzin tygodniowo. W niedzielę i dnie świąteczne odbywać się będą ćwiczenia w gimnastyce, śpiewie i muzyce. Praca, której sieroty w zakładzie mają się oddawać, polega na pomocy w warsztatach i przy gospodarstwie lub właściwej pracy warsztatowej, w rzemiosłach i samodzielnem wykonywaniu prac gospodarskich. Do pracy pierwszej kategoryi dziewczęta będą używane najpóźniej do roku 12, a chłopcy do roku 14. Zatrudnienia tej kategoryi będą systematycznie stopniowane, do wieku i siły pracującego troskliwie zastosowane i tak dobrane, ażeby popierały umysłowy rozwój człowieka, dały mu pracę w różnych jej formach poznać, zrozumieć i polubić. Drugiej kategoryi pracy oddawać się będą starsze sieroty; celem tej pracy będzie uzyskanie wprawy w pewnem rzemiośle lub gospodarstwie domowem i folwarcznem. Trzecia wspólna wszystkim sierotom kategorya pracy, obejmuje wszelkie posługi domowe i gospodarskie na rzecz zakładu. Praca warsztatowa będzie obejmować następujące rzemiosła: kowalstwo, ślusarstwo, blacharstwo, stolarstwo, bednarstwo, stelmachstwo, siodlarstwo z rymarstwem i lakiernictwem, krawiectwo i szewctwo. W ostatnich dwóch rzemiosłach kształceni będą chłopcy i dziewczęta: w pierwszych wyłącznie chłopcy. Dziewczęta będą głównie wprawiane do wzorowego wykonywania prac należących do zakresu gospodarstwa domowego, mają więc uczyć się: szyć bieliznę, prząść, gotować, piec, prać, prasować i t. d. W ogóle program nauki dla dziewcząt obejmuje wszelkie kobiece roboty ręczne. Wszystkie sieroty będą uczyć się praktycznie ogrodnictwa i sadownictwa a dla dziewcząt i chłopców do lat czternastu lub starszych lecz wątłych będzie wprowadzoną nauka koszykarstwa, introligatorstwa i innych zajęć spokojnych, szczególniej na czas wieczorów zimowych.

Dla sierot pracujących w warsztatach urządzony będzie 3-letni kurs techniczny, którego program składają następujące przedmioty: nauki przyrodnicze z szczególnym uwzględnieniem płodów i praw natury ważnych dla rolnictwa i przemysłu; nauka o materyałach i narzędziach i ich użyciu w najważniejszych rzemiosłach, oparta na podstawie głównych prawideł chemji i fizyki; geografija ze szczególnem uwzględnieniem stosunków fizyograficznych i statystycznych Galicyi i Austryi; historya miejscowa i Austryi, tudzież najważniejsze wypadki z nowszej historyi powszechnej z uwydatnieniem najgłówniejszych zdarzeń w dziedzinie handlu i przemysłu; arytmetyka i rachunkowość kupiecka; geometrya wraz z rysunkami geometrycznemi i rysunkiem machin; rysunki z wolnej ręki i modelowanie. Wreszcie wchodzi w program nauka korespondencyi kupieckiej i form stylu używanych w stosunkach handlowych i przemysłowych, tudzież czytanie w języku polskim i niemieckim. Dla pomocy w naukach utworzone będzie w zakładzie muzeum z przedmiotów odnoszących się do nauk przyrodniczych, maszyn i rękodzieł, tudzież biblioteka mieszcząca w sobie dzieła dla nauczycieli, książki do czytania dla sierot. Ogród zakładu będzie tak urządzony, ażeby mógł być używany do celów nauki; z najstarszych zaś uczniów utworzoną będzie straż ogniowa, do której wpisanie stanowić będzie nagrodę za nienaganne zachowanie się, dobre postępy i wytrwałość w pracy.

Sieroty odprawiane będą z zakładu wtedy, gdy nabyte wykształcenie pozwoli im samym utrzymać się. Chłopiec odprawiony z zakładu powinien ukończyć co najmniej 15 lat a dziewczyna 14 lat. Odprawiając sieroty wykształcone na rzemieślników, zakład udzielać im będzie zaliczki na odbycie wędrówek, na zwiedzenie celniejszych pracowni i fabryk z zakresu obranego rzemiosła. Sieroty, które się dobrze sprawowały w zakładzie, otrzymają przy wystąpieniu w miarę funduszów, oprócz wyprawy odpowiedniej swemu praktycznemu uzdolnieniu, także zaliczkę do założenia własnego gospodarstwa.

Przytoczyliśmy tutaj ze statutu organizacyjnego postanowienia, które wskazują rozmiary, cel i charakter zakładu. Dalsze postanowienie o urządzeniu i zarządzie zakładu, tudzież o jego organach nie mogłyby zająć Czytelniczki Tygodnika i dla tego nie wspominamy o nich. Jak widzimy z powyższych szczegółów zakład hr. Skarbka w Drohowyżu będzie głównie szkołą rzemieślniczą dla ubogiej młodzieży galicyjskiej i to nadaje mu niezmiernie ważne dla kraju znaczenie. Jest on bowiem pierwszym zakładem tego rodzaju i czyni zadość potrzebie, którą od dawna powszechnie uznawano. Nie potrzebujemy zastanawiać się, czem dla społeczeństwa każdego jest dobrze wykształcony i uorganizowany stan rzemieślniczy. Dla Galicyi w wyższym niż gdzieindziej stopniu, stanie się jednym z pierwszorzędnych czynników społecznego i ekonomicznego odrodzenia. Ś. p. hr. Skarbek fundując zakład Drohowyżki położył zatem wiekopomną zasługę, za którą najpóźniejsze pokolenia czcić i wielbić będą jego pamięć.

Dyrektorem zakładu Drohowyżkiego, mianowany został p. Julijusz Starkel, członek krajowej rady szkolnej, znany z wielu prac literackich, a głównie jako redaktor *Dziennika literackiego* w chwili, gdy pismo to było jedynem ogniskiem literackiego życia i ruchu we Lwowie. Wybór padł zatem na osobistość, która zapewni zakładowi umiejętne kierownictwo w całem tego słowa znaczeniu. *Dr. B. Ł.*

PEDRO ANTONIO DE ALARCON

współczesny poeta i powieściopisarz hiszpański.

(Według p. Ludwika Lande)

przez J. B.

(Dokończenie).

Dobry połów.

Otóż nowella tego znakomitego pisarza hiszpańskiego.

Ukończyła się wojna o następstwo tronu i szlachetny baron de Mequinenza, okryty chwałą i bliznami, ale jak się to najczęściej przytrafia bohaterom, bez grosza w kieszeni, powrócił do swego zniszczonego zameczku, aby spocząć po wojennych trudach i spożywać szczupłe dochody jakie przynosiła jego posiadłość.

Teraz słów kilka o wojowniku i o jego baronji.

Don Jaime de Mequinenza, baron de Menquinenza, który służył w stopniu kapitana w szeregach wnuka Ludwika XIV, miał wówczas lat trzydzieści pięć; był wysoki, piękny, śmiały, przedsiebierczy, nie bardzo uczony ale za to wymowny i lubiący ładne dziewczęta. Dodam jeszcze że nie miał już rodziców i był ostatnim potomkiem swego rodu — i na tem zakończę obraz aragońskiego hidalga.

Zamek był zupełnie podobny do właściciela, tylko nie tak zdrów i mocny, ale za to pod względem opuszczenia, biedy i dumy, jak mi Bóg miły, nikt przewyższyć go nie mógł. Wyobraźcie sobie, mówię *wyobraźcie*, ponieważ już od dawna rozsypał się w gruzy: wyobraźcie tedy sobie osobliwszy ten zamek, w połowie murowany, w połowie wykuty w skale, z jednej strony kąpiącej się w wodach Ebro, z drugiej oparty o górę której szczyt gubił się w obłokach.

U stóp tej skały rozsiadło się dwanaście domków i chatek zamieszkanych przez wazali barona, czyli raczej rolników uprawiających kilka zagonów stanowiących jego baroniję. Z wioski do zamku, wchodziło się po piętnastu schodkach dochodzących do głębokiego rowu po nad którym unosił się mostek. Rów ten zasilany wodą przeprowadzaną z Ebro, zamienił się w bystry potok z szumem powracający do rzeki.

Do grzbietu tejże niedostępnej góry, przyczepiła się jeszcze druga mniejsza skała, także stercząca po nad rzeką Ebro, a oddzielona od zameczku owym spadkiem wody a na szczycie tej skały wznosiła się chatka otoczona sadem, niby ogród wiszący ludzką rzucony ręką. Szeroka deska orzechowa stanowiła rodzaj mostu łączącego zamek i chatkę, a jak niepodobna było dostać się do zamku gdy podniesiono most zwodzony, tak znów bez owej deski niemożebnem było przejść z zamku do chaty.

Jak już mówiliśmy, na wielkiej skale zamieszkiwał don Jaime de Mequinenza, powiemy jeszcze że na mniejszej w owej małej chatce, żył sobie biedny rybak trudniący się połowem węgorzy.

Damian, tak zwał się ów rybak, powziął szczęśliwą myśl rozciągnięcia po nad samym mostem rodzaju wielkiej sieci; woda kaskady z łatwością przepływała przez jej oczka, ale wszystkie węgorze pędzone wirem nie mogły wydostać się z zastawionej matni. Damian zabierał je jak swoje i zaraz szedł sprzedawać w okolicznych wioskach, a że mu łatwo przychodziły, małą nakładał cenę.

Teraz poznawszy topograficzne położenie miejscowości, w której odegrał się ten prawdziwy opisany przez nas dramat, przejdźmy do ważniejszych szczegółów.

Damian tedy mógłby zrobić majątek, mimo to zawsze był goły jak turecki święty, a to z powodu że jak wielu mężczyzn popełnił ogromną niedorzeczność, i zaślubił dziewczynę młodą, śliczną i bardzo rozmiłowaną w strojach, słowem dziewczynę próżną i zalotną.

Karmen, zdrobniale Karmela lub też Karmelita jak ją nazywał Damian, była dziewczyną z poblizkiej wioski, nie umiała pisać ani czytać, ale tak była wabna i urocza iż mogłaby skusić choćby staruszka, jeźliby go nie strzegła szczególna łaska Boska. Był to jeden z tych szatanków których Belzebub szczególniejszemi otacza względami.

Karmelita miała blond włosy, była nizka, okrąglutka, wysmukła jak trzcina i jak osina giętka. Cała jej postać mogłaby za model służyć snycerzowi — a jaki chód, jakie ruchy, jakie poruszenia głową!... Płeć miała białą jak śnieg, różową jak wieczór majowy, była silna i zdrowa jak powietrze na tych wyżynach, czułą jak synogarlica w klatce, a uśmiech, spojrzenie, ręce, ramiona i gors... cuda, istne cuda! Nosiła zawsze śliczne krótkie spódniczki, z pod których maleńkie widać było nóżki, słowem patrząc na nią myślałeś o raju Mahometa.

Ach! Karmeno! Karmelo! Karmelito!... cóż dziwnego że biedny Damian oszalał z miłości, że ciebie, skarb swój najdroższy poniósł na szczyt skały, gdzie przed światem bronił cię zamek feodalny a w dzień nikt nie mógł wedrzeć się nie będąc od całej wioski widzianym.

Lecz że podobne młode kobiety, choćby nikt się w nich nie kochał same kochają się bardzo w sobie, więc też i Karmena choć żyła samotna i nikt jej nie widywał prócz męża, jednak tak lubiła się stroić że wszystko co Damian zarabiał na węgorzach, ona wydawała na fartuszki, baskiny, spódniczki, pierścionki, kolczyki i różne ozdoby, i była zawsze ubrana niby jaka pani.

Tak wystrojona Karmela siadała pod chatką i patrzyły na nią wróble, kwiatki z ogródka i obłoki, lecz widać tak pewna była świetnej, czekającej ją przyszłości, iż czekała spokojnie spełnienia wyroków przeznaczenia. Zamek, jedyne sąsiedztwo chaty był zupełnie opustoszały; don Jaime de Mequinenza wówczas nie wrócił jeszcze z wojaczki, a z doliny żona rybaka wydawała się jak piękny kwiat świetnemi połyskujący barwami i zawieszony na pochyłości otchłani. Tak więc jeźli Karmelita oczekiwała kochanka, strojąc się tak świetnie, to chyba z obłoków spaśćby musiał.

Więc tedy — zapytacie — Karmela nie kochała męża?

— Alboż ja wiem? Tyle tylko mogę powiedzieć że żyła z nim dobrze, ale najczęściej była zupełnie sama, gdyż Damian biegał po okolicy ze swymi węgorzami. Żądał on aby podczas jego nieobecności Karmelita nigdy nie schodziła do wioski, i była mu posłuszną raz dla tego że przysięgła posłuszeństwo, a powtóre... że taka piękna pani nie mogła przecie pospolitować się przestawaniem z gburowatymi wieśniakami. Alęż, powiecie, wszak i Damian był tylko prostym wieśniakiem, przyznajesz więc autorze, że nie był w guście żony? A! cóż mam robić, kiedy tak było.

I jakże mógł jej się podobać, rybak niedbale i nędznie odziany, z grubemi, opalonemi rękami, ogorzałą cerą zgrubiałą od słońca i słoty, od którego zdaleka czuć było wilgoć i muł wodny — jej tak pięknej, wystrojonej, wykwintnej i pysznej jakby Madrytanka? Wprawdzie biedny rybak dla tego właśnie tak nędznie był ubrany, że żona stroiła się za nadto, dla tego ręce jego zgrubiały od ciężkiej pracy iż pracował za dwoje aby żona ochraniała swe małe rączki; dla tego czuć go było wilgocią i mułem że łowił ryby które sprzedawszy kupował żonie pachnące mydło.... No! wszystko to prawda, ale co to rozumować z kobietą, a jeszcze z kobietą dziewiętnasto-letnią, ładną, świeżą, lekką i uroczą jak siedm barw tęczy! O! mili czytelnicy! wdzięczność to uczucie za nadto poważne dla wietrznej istoty, a sprawiedliwość zawadza tylko zbyt rozbujałej wyobraźni. Cnota zaś oczyszcza się i wyrabia w próbie nieszczęść, a Karmela była bardzo, bardzo szczęśliwa!

Wszystko to ma znaczyć że piękna Karmena nabiła sobie głowę don Jaime'm de Mequinenza od pierwszej zaraz chwili gdy tylko rozeszła się wieść o jego powrocie.

Syt bojów i sławy, don Jaime powrócił rzeczywiście do swego zamku, i jak tylko ujrzał Karmenę, zakochał się w niej szalenie.

Tymczasem poczciwy Damian spokojnie łowił węgorze. Od chwili jednak powrotu barona jakiś nieopisany niepokój miotał duszą zazdrośnika. Jakkolwiek równie jak cała wioska, był bardzo przywiązany i szanował głęboko swego pana, nieustannie przecie stawało mu w myśli, że don Jaime bardzo lubił kobiety, a żona jego taka ładna, i że daleko mniejsza przestrzeń oddzielała chatkę od pałacu niż od wioski, szczególniej z powodu owego mostku. To też zaczął bardzo narzekać na reumatyzm w nodze, przez chłopca posełał na sprzedaż węgorze swoje, a sam rzadko kiedy i to na krótko oddalał się z chatki.

Co prawda obawy jego nie były bezzasadne. Don Jaime i Karmela dawno już porozumieli się oczami, nudziła im się ta niema rozmowa gdyż szaleli za sobą jak się to często przytrafia ludziom co tylko patrzą na siebie a nic nie mówią. Miłość platoniczna jakoś ciężyć im zaczynała, znienawidzili rozdzielającą ich przestrzeń a most był tak krótki i łatwy do przebycia iż z gorączkową niecierpliwością oczekiwali aby Damian oddalił się z chaty... wszystko to zatelegrafowali sobie oczami. Oj! te oczy, te oczy!

Był śliczny, pogodny wieczór majowy; oboje małżonkowie siedzieli przed chatą, rozkoszując się widokiem zachodzącego słońca. Uroczy to był widok ale że go znacie dobrze, bo od wieków słońce jednakowo wschodzi i zachodzi, więc opisywać go nie będę. Powiem tylko że owego wieczora tak jakoś powoli i z niezwykłą wspaniałą powagą spuszczało się za góry, jak gdyby nigdy już wrócić nie miało. Była to jedna z tych chwil wspaniałych, w których zdaje się iż czas zatrzymał się w biegu; jedna z tych uroczystości przyrody o której milczą jej dzieje, jeden z tych dni uroczystych, w których zdaje nam się że świat po raz pierwszy dosięgnął szczytu swej piękności, że wszystkie minione wieki były tylko okresem jego dochodzenia do dojrzałości, a te co nadejść mają okresem prowadzącym do upadku, wyniszczenia i starości zgrzybiałej wiodącej do nicości.

Karmela i Damian z zachwyceniem wpatrywali się w zachodzące słońce, którego ostatnie promienie powlekały horyzont jakąś proroczą barwą. Jakkolwiek prości i nieukształceni, jednak widać skutkiem moralnego podniecenia w jakiem zostawali, czuli oboje że dziś zachód słońca nie może być im równie obojętny jak zwykle, i może dla tego właśnie że ich nieokrzesanie nie dozwalało im zdać sobie sprawy z doznawanych wrażeń ani wytłomaczyć posępnych przeczuć wstrząsających ich dusze, w miarę jak słońce nikło z horyzontu ogarniał ich coraz silniejszy niepokój, coraz straszniejsze przerażenie. Milczeli, a bojąc się zdradzić tajemnego, miotającego nimi niepokoju, nie śmieli nawet podnieść oczu.

Oboje zamierzali popełnić zbrodnię: żona postanowiła złamać wiarę małżeńską, zazdrosny mąż umy-

ślił pozbyć się niebezpiecznego wspólzalotnika; — i nastało między nimi jakby milczące porozumienie, i żadne nie zwróciło nawet uwagi na to tak długie, tak niepojęte milczenie.

Nareszcie gdy słońce całkiem już znikło z horyzontu, oboje odetchnęli mocno, jakby po długiem i ciężkiem zadaniu. Stało się! Oboje powzięli stanowcze postanowienie; spojrzeli na siebie spokojnie i śmiało, Damian zwrócił wzrok na zamek i pozdrowił poważnie barona de Mequinenza wpatrującego się w Karmenę, która najspokojniej ukłoniła się baronowi. Nie uszło to uwagi Damiana; wyciągnął chorą nogę i rzekł zwracając się do żony:

— Prawie nic mnie już noga nie boli, to też zejdę do wioski i może uda mi się nareszcie odebrać małe moje należności. Zabawię tam przez noc, powrócę dopiero nad ranem zdjąć założone sieci i wybrać węgorze. No! Bywaj zdrowa, Karmelo.

— Bywaj zdrów, Damianie — odpowiedziała spokojnie.

Nigdy jeszcze tak zimno nie żegnali się z sobą. Damian wziął kapelusz i kij okuty, przeszedł mostek orzechowy i zszedł w dolinę. Słońce złociło jeszcze szczyt wysokiej góry.

W ośm godzin później, wyłaniające się słońce znów jasne swoje promienie rzucało na chatkę. Widać smutek i powaga z jaką zachodziło wczoraj były tylko udane, bo znowu zabłysło jasne i wesołe, czerwone jak płonąca pochodnia, ale tak jakoś powoli posuwało się na niebie, jakby wędrówkę tę odbywało po raz pierwszy. Gdzie tylko padały jego promienie, rozbudzało się życie i wesołość. Woda błyszczała, kury gdakały, mgły unoszące się po nad Ebro rozdzierały się jak gazowa zasłona, wróble weselej świergotały, trzody i pasterze rozbiegli się w dolinie.

A było to toż samo słońce które przez te ośm godzin swej tu nieobecności przebiegało po nad Oceanem, w Ameryce zaznaczyło południe, było bogiem bałwochwalczych plemion Oceanu Spokojnego, przyświetlało niezliczonym chińskim małżeństwom, paliło promieniami swemi pustynie Indostanu, pokłoniło się u Świętego Grobu, oznaczyło godzinę śmierci kilku tegoczesnych Greków, a teraz, ciekawie przychodzi dowiedzieć się co się stało z młodą parą, którą wczoraj wieczór pozostawiło siedzącą przed drzwiami chaty.

I Damian jakoś dziś był weselszy niż wczoraj, jak to można było wnosić z wesołej i swobodnej miny z jaką wstępował na stopnie wiodące do pałacu, w towarzystwie innych rybaków, wyśpiewujących na całe gardło jakąś wieśniaczą piosenkę. Doszli do zwodzonego mostu który już był spuszczony, przeszli około pałacu gdzie wszystko zostawało jeszcze w głębokim śnie pogrążone, i doszli do miejsca leżącego na przeciw chatki Damiana.

— Jakoś głośniej niż zwykle szumi dziś kaskada, rzekł jeden z rybaków.

— Ale gdzież mostek? — zapytał Damian.

— Ach! prawda! zapadł się, i to dziwna że z obu końców ani śladu po nim nie zostało.

— Jak się to stać mogło? deska była taka szeroka i mocna.... Muszę dziś jeszcze postarać się o inną — rzekł Damian jakby z niezadowolnieniem. Dalej chłopcy! pomóżcież mi wyciągnąć sieci aby nie zatonęły.... I kończąc przerwaną piosenkę, zaczął wyciągać sieć swoją.

— Tam do kata! jakaż ciężka! — rzekł jeden z rybaków.

— No! no! szczęśliwy jesteś, a toż to waży najmniej 250 funtów; dobry połów!...

— Bardzo wierzę — odparł drugi — waży dużo bo zapewnie ułowił załamaną deskę.

Damian uśmiechnął się w milczeniu.

— Mówisz że twoja sieć taka ciężka — zawołał inny rybak; — no i ta nie lżejsza, przysiągłbym że waży 300 funtów.

— Pewnie to odłamy skały powpadały w sieci — rzekł jakiś zazdrośnik.

Damian był teraz ponury i niespokojny; pot kroplami spływał mu z czoła.

— Jakto? — mówił sam do siebie, obie sieci takie ciężkie?... i czepiając się jak mógł podwalin zatopionej deski, przebył kaskadę i pobiegł ku swej chatce.

Pierwsza sieć zaczęła ukazywać się na powierzchni wody i rzeczywiście zawierała w sobie, wprawdzie nie całą deskę, ale jedną jej połowę bardzo równo oderzniętą — widocznie przepiłowano ją w nocy.

Jeszcze rybacy nie ochłonęli z podziwienia, gdy nagle odskoczyli i krzyk przerażenia rozległ się w około. Jakby odpowiadający na niego, z głębi chaty dała się słyszeć skarga głucha, straszna, rozdzierająca serce i na progu ukazał się Damian, z najeżonym włosem, z obłąkanym wzrokiem, śmiał się dziwnym, dzikim śmiechem, śmiechem szalonych.

W pierwszej sieci rybacy znaleźli martwe zwłoki don Jaim'a.

Damian nikogo nie zastał w chacie. Łóżko Karmeli było nierozebrane, a ciało jej wraz z drugą połową deski, wyciągnięto z drugiej sieci.

— I ona także.! i ona także! — wołał bezprzytomny Damian — o! ja nie żądałem tak wiele. I ona także!... krzyczał jak mógł najgłośniej, i zamknął się w chacie.

Gdy sąd zszedł aby go przyaresztować, zastali go piłą piłującego prawą swoją rękę, śmiał się i krzyczał z całego gardła: Dobry połów!...

Damian oszalał.

*
* *

W podobnym rodzaju pisane są wszystkie nowelle Alarcon'a, styl potoczysty i jasny, dramatyczność treści, co nader jest trudnem w tak krótkich utworach, stawiają autora w rzędzie najznakomitszych tegoczesnych nowelistów.

Talent, stosunki i coraz głośniejsza sława, nie dozwoliły dłużej Alarcon'owi trzymać się zdala od stronnictw politycznych— wszystkie ciągnęły go do siebie. U steru władzy stał wówczas O'Donnel, przywódzca *Unji liberalnej*; Alarcon poznał go jeszcze podczas wyprawy afrykańskiej i podzielał jego przekonania polityczne.

Nie objawiał ich jednak póki O'Donnel był prezesem ministrów i dopiero po upadku ministeryum oddawał ważne usługi sprawie jego stronnictwa, znakomitemi artykułami swojemi w *Epoca i Politica*. Prześladowanie rządu zapewniło mu wybór do Kortezów w r. 1865; tu odznaczył się niepospolitą wymową, porywał i unosił kolegów. Za nieustanną opozycyę skazany został na wygnanie do Burgos, lecz gdy wybuchła rewolucya z r. 1868, rząd tymczasowy mianował go pełnomocnikiem swoim przy dworze szwedzkim. Rozczarowany niezgodami stronnictw, nieustannie szarpiących ukochaną jego ojczyznę, oraz brakiem zdolności i praktyczności przywódzców republikańskich w Hiszpanii, Alarcon zgodził się na restauracyę i wstąpienie na tron Alfonsa XII, i on co dotąd nie chciał przyjmować żadnych tytułów ani posad rządowych, przyjął godność radzcy stanu.

Nowe zajęcia urzędowe nie przeszkadzają mu zajmować się pracami literackiemi. W roku zeszłym wydał *el Sombrers de tres picos* (kapelusz trójgraniasty), jest to rodzaj opowieści wiejskiej, napisanej nader zajmująco.

Rzecz dzieje się na początku tego wieku, w prowincyi Grenada, w okolicach małego miasteczka. Znakomite osoby i *władze miejscowe* nosiły wówczas trójgraniaste kapelusze, czerwone płaszcze i małe szpady. Był tedy pewien *corregidor* (sędzia wiejski) mający prawo nosić taki kapelusz; ten zapominając o przykazaniu nie pozwalającem nam pożądać osła ani żony bliźniego swego, zakochał się szalenie w stolarce Frasquita, prawdziwej wiejskiej piękności, czerstwej, silnej, rumianej, lubiącej pośmiać się i pożartować, ale w gruncie bardzo uczciwej. Z pomocą totumfackiego swego, nikczemnego algazilą, corregidor samowolnie aresztuje męża, a sam zakrada się do młyna. Powiastkę tę tak prostą, autor osnuł na tle miejscowej legendy, treść więc, jak widzimy jest bardzo prosta, ale wynagradza ją szczególniejsze bogactwo zabawnych ustępów, pociesznych scen zmieniających się co chwila, dowcip, werwa i humor. Jakież to dziwne pomyłki, gonitwy, i bastonady, których czytając opis, najpoważniejszy musi zanosić się od śmiechu. Szczęściem wszystko kończy się dobrze i bardzo moralnie.

Niezadługo po wyż wspomnianej powieści, wyszła z druku *La Alpujarra*. Nazwę tę nosi okolica położona na południowym stoku Sierra-Newada, która od lodowatych szczytów Mulhacenu, sterczącego po nad Grenadą, stopniowo pochyla się ku morzu. Tam to, za Filipa III wybuchło powstanie Moriskosów, którzy zrozpaczeni porwali za broń aby walczyć przeciw niesumiennemu wyrokowi, skazującemu ich na wygnanie z kraju, który przez tyle wieków użyźniali swoją krwawą pracą i potem. Pokonani przeważającą siłą, potomkowie maurytańscy wyginęli, a mała niedobitków resztka dostała się na niegościnne wybrzeża Afryki, aby tam umierać z rozpaczy i głodu. Była to straszna zbrodnia polityczna, za którą Hiszpanija po dziś dzień pokutuje. Alarcon zwiedził szczegółowo tę okolicę tak mało znaną samym nawet Hiszpanom i z mocą i uczuciem opisuje krwawe krzywdy i cierpienia biednych wygnańców, których mimo różnicy religji uważa za współziomków i braci.

Obecnie don Pedro Antonio de Alarcon liczy lat 40, ma wysokie odkryte czoło, rysy regularne, wyraz twarzy zdradza siłę i energiję, oczy rozumne, głęboko rzucają spojrzenia. Jest to dziś poważny urzędnik, mąż i ojciec rodziny; ostatnie jego utwory są coraz głębiej obmyślane, nacechowane staranniejszem obrobieniem i dojrzałością sądu. Dzienniki hiszpańskie zapowiadają nowy jego romans, p. t. *Skandal*, którego dążność ma być przeważnie moralna i religijna.

DOROCZNY POPIS

Instytutu Muzycznego.

Każdy publiczny występ jedynej u nas Instytucyi uprawiającej naukową i teoretyczną część muzyki, każdy objaw życia z jej strony i wreszcie każdy postęp lub ulepszenie, budzą w publiczności naszej żywe współczucie i interes. Nie jest to bynajmniej dziwnem gdyż liczebny zastęp uczących się, przedstawia się nader poważnie i wróżyć każe o przyszłości naszego Instytutu bardzo dobrze. Niech więc szanowni czytelnicy pozwolą nam zdać nieco szczegółową sprawę z ostatniego popisu uczniów i uczennic Konserwatoryum, a uwagi jakie zrobić zamierzamy, niech posłużą do wyrobienia sobie zdania o obecnym stanie nauk tej Instytucyi. Niejednokrotnie już w prasie naszej stawiano pytanie, czy popisy publiczne są korzystnemi dla występujących uczniów. Kwestya to ważna i zasługująca na bliższe zastanowienie. Nam, obeznanym dobrze ze sprawami Instytutu, zdaje się

tylko, że zmiana co do formy i treści mogłaby mieć miejsce, ale sam popis, dający wyobrażenie o stanie nauki, istnieć może i powinien. Nie wahamy się jednak otwarcie wypowiedzieć że szata koncertowa, w jaką się popisy oblekają, nie jest właściwą, z tego powodu, że idzie nam bardziej o uwzględnienie raczej strony pedagogicznej, aniżeli o przyjemne wysłuchanie kilku sztuk umyślnie na popis przygotowanych. Jest to rzecz ważna, ważniejsza niż się na oko wydać może, albowiem uczeń, pracując nad jedną sztuką, zapomina o systematycznych studyach, puszczając je na czas pewien w odwłokę.

Biorąc teraz pod uwagę treść ostatniego programu wyznajemy szczerze, że wybór wielu solowych ustępów nie był ze wszystkiem właściwy; bo w szkole muzycznej idzie głównie o to, aby wpoić w ucznia główną podstawę gry: styl, a owoce tych usiłowań publiczność powinna mieć sobie przedstawione. Ustęp więc z dzieła o szerszym zakroju i stylu ma tu pierwszeństwo, a drobne utwory niech schodzą na drugi plan, bo one choćby pełne wartości muzykalnej, zalet metody profesora oraz postępów ucznia wykazać nie są w stanie. Tem też bardziej nie jest godnem pochwały, jakieś faworyzowanie niektórych uczniów wykonywających aż dwie rzeczy, przez co mają sposobność do świetniejszego przedstawienia gry swojej lub śpiewu, ze szkodą współkolegi nieraz więcej dającego na przyszłość nadziei. Dobitny tego dowód mieliśmy obecnie na dwóch tamtejszych uczennicach klasy śpiewu, z których jedna zyskała suty poklask, za co?... pewnie że nie za swój maleńki i niewyrobiony głosik, ale za odśpiewanie, wcale nie wzorowe, znanego i efektownego mazurka, podczas gdy zaraz po niej występująca druga uczennica, zimniej przyjęta, bez porównania więcej na przyszłość daje nadziei. Głos jej pełny i dźwięczny rokować pozwala świetny zawód sceniczny, gdy inne jej koleżanki mimo zdolności i więcej rozwiniętej muzykalności, nie wróżą nic w przyszłości osobliwego.

Gdyśmy już zaczęli mówić o śpiewaczkach, bo z klasy męzkiej nikt nie wystąpił, należy nam skończyć tę materyą ogólnym poglądem na stan śpiewu solowego w Instytucie. Nie możemy powiedzieć że zdanie nasze wypada na korzyść nauczyciela, gdyż kierownictwo nad klassą śpiewu nieodpowiada jeszcze jak należy wysokości zadania, tak pod względem metodycznym jak i estetycznym.

Inaczej przedstawia się klasa fortepianu, osobliwie kierowana doświadczoną ręką prof. Strobla. Tu kierunku dopatrywać nie trzeba, bo on sam pod zmysły podpada i przedstawia się w pełni swych zalet. Z tej klasy tak uczennice panny Buchardt i Otasek jąk i uczniowie panowie Pachulski i Brykner, bez wyjątku odegrali swe numera bardzo dobrze.

Wprawdzie jeden tylko p. Brykner wykazał talent *hors ligne*, rokując bardzo piękną przyszłość. U innych znać wielką pracę, większą od ich zdolności i dla tego może raziło nas nieco sztywne traktowanie oraz zbyt ostre i wyraziste akcentowanie w biegnikach, skutkiem czego czuliśmy brak zlewania się tonów, jakby te od siebie były oddzielone nieznaczną pauzą. Uczennice z klasy prof. Janoty również dobrze się przedstawiły.

Z klasy skrzypców jeden tylko wystąpił solista p. Adamowski. Bacząc na niekorzystne warunki dla instrumentu, który w takiem gorącu musiał się rozstrajać, przyznajemy że młody skrzypek posiada zalety, które go wysoko już teraz stawiają, a przy pracy i rozwijaniu się umysłowem zrobić go mogą znakomitym artystą.

Koncert Ernsta przechodzi jeszcze siły p. Adamowskiego, bo *wybrać* a *odegrać* to są dwie różne rzeczy i dla tego obowiązkiem było nauczyciela, powierzyć do wykonania inne dzieło, przystępniejsze dla ucznia. Brak z resztą stylu, jakim się ten koncert odznacza, nie dozwolił nam ocenić na jakim stopniu stoi dziś duchowa strona gry p. Adamowskiego.

Kwartet Alarda wykonany na skrzypcach przez cztery panienki, tylko chyba dla niezwykłości wykonania mógł być umieszczony na programie popisu. Najprzód bowiem utwór sam jest poprostu Etiudą na jedne skrzypce, *ad hoc* przerobioną a zatem i znakomicie ułatwioną. Powtóre nie widzimy żadnego celu, w przedstawianiu publiczności podobnych kompletów, a co ważniejsza w wyuczaniu tak pokierowanych utworów. Nam się zdaje że Instytucya która ma już za sobą poważną przeszłość, która już zdobyła sobie piękne stanowisko i uznanie ogólne, nie powinna się bawić w podobne nadzwyczajności, ujmę przynoszące powadze szkoły.

Dwa ustępy z kwintetu Szumana bez szkody dla programu mogły być usunięte. Pięcioro dziatek, biorących udział w tym ustępie, ma jeszcze przed sobą lata nauki; nie można więc z tego mieć wyobrażenia na jakim stopniu stoi dziś klasa ćwiczeń zbiorowych, bardzo ważna w obecnym rozwoju muzykalnym.

W chórach Instytutu postęp ciągły widoczny. Szczerze żałujemy że szczupła ilość głosów męzkich, nie dozwala nauczycielowi rozwinąć w pełni swej pożytecznej ze wszech miar działalności. Numera wykonane na popisie przynoszą zaszczyt panu Studzińskiemu.

Orkiestra Instytutu, tak niedawno wytworzona, nosi na sobie piętno niedoświadczenia. Zastęp jest dość liczny lecz jeszcze nieskupiony w jednolitą całość. Ważną jest rzeczą aby zwierzchność szkolna na tę ważną klasę baczniejszą cokolwiek zwróciła uwagę. Potrzeba tu kierownictwa kompetentnego, potrzeba ręki energicznej, która ujmwszy pałeczkę dyrektorską, doprowadziłaby do większej jedności tę gromadkę. Jak dotąd widzimy, to rzecz ta trochę po macoszynemu traktowana, nie odpowiada zadaniu, a wybór takiej uwertury jak „la Circasienne" potwierdzać się zdaje nasze mniemanie.

Ulepszenie w tym razie nie przedstawia, zdaje się nam, zbyt wiele trudności; jeżeli kierunek powierzonym zostanie komuś dobrze w tym dziale muzyki wykształconemu. Na teraz nie możemy pominąć wielu niesforności, jakie na obecnym popisie mieliśmy sposobność usłyszeć. Nie dosyć ustosunkowane fortissimo było powodem, że z wyjątkiem bębna i kotłów nic w tej hałaśliwej masie odróżnić nie byliśmy w stanie.

Mimo tych wszystkich niedokładności, jakie wykazać byliśmy obowiązani, nie możemy zataić zadowolnienia, jakiego doznaliśmy, widząc że nasza szkoła muzyczna wytrwale dąży do postępu i choć śród liczby występujących trzy tylko wyróżniamy talenta, mimo to, uznać musimy, że Instytut spełnia swoje zadanie wedle sił i możności swoich, coraz więcej zasługując się społeczeństwu naszemu. Talent jest rzeczą niezmiernie rzadką i żadna szkoła muzyczna nie jest w stanie go stworzyć. Jakże wiele jest podobnych naszemu konserwatoryów, a jakże mało znakomitości muzycznych na świecie! Obowiązkiem szkoły jest tylko możliwe wykształcenie ucznia w obranym zawodzie dokonać a do tego celu Instytut Muzyczny Warszawski wytrwale dąży i za to szczere uznanie mu się należy.

Stanisław Nuta.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Amerykanka czyli nożyce do strzyży owiec.

Ulepszone to narzędzie składa się z siedmiu nożyków stalowych osadzonych na szerokiej stalowej blaszce; ruchomy nóż naciska ostrze i dopełnia strzyży szeroko, równo i czysto. Dwie sprężyny nadają potrzebną spójność i siłę całemu narzędziu, które tylko pomocy jednej ręki wymaga, drugą zostawiając swobodną. Wełna zebrana przy samej skórze wielkiemi cięta płatami, przedstawia runo w jednolitej zupełnie nie dzielącej się całości, szerokie zaś i płaskie nożyce, mają jeszcze tę zaletę, że równo przechodząc powierzchnię skóry, uniemożebniają wszelkie jej skaleczenia tak bolesne dla biednego zwierzęcia, zwłaszcza przy upale jaki zwykle w porze strzyży panuje.

Niekiedy przy robocie nożyce się stępią, dostatecznem więc jest, aby przywrócić je do właściwego stanu, przeciągnąć nóż po osełce, należy tylko pamiętać aby był zamknięty; tak samo się ma i z małemi nożykami, które siłą tarcia noża dużego, dłużej utrzymują się ostre, jeżeli jednak zajdzie potrzeba wyostrzenia, nie trzeba ich rozbierać — gdyż w całości lepiej się całej tej operacyi dopełni.

Nożyce te oglądaliśmy w składzie p. Gayera na Nowym Świecie. Cena ich za sztuk sześć, wynosi rs. 6 kop. 75.

Opis ryciny kolorowej.

F. 1. Ubranie wizytowe. Biała muślinowa suknia przybrana jest na spódnicy, przy tunice i staniku z baskiną haftowanemi falbanami i stebnowanemi plisami. Kokardy, krawatka i pasek z szarfą są z materyi pąsowej. Falbana z nagłówkiem zakończająca bufowane rękawy, przewiązana jest także wstążką. Na głowie gładka złota opaska, oparta nakształt dyademu na warkoczach.

Fig. II. Ubranie spacerowe. Suknia z jasno niebieskiego lino dopełniona jest vetement koloru écru z materyału przerabianego ażurowo. Spódnicę otaczają dwa marszczone wolanty zakończone plisowaniem. Vetement przystrojone jest koronką écru, błękitną siepaną riuszą i kokardami. Na rękawach oprócz riuszy dane plisowanie niebieskie i écru. Kapelusz biały bastowy ubrany błękitną wstążką, białem piórem i różami.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 2 (14) Іюля 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Opis do N. 29.

N. 1—2. Ubranie z tuniką której tylne bryty zachodzą brzegami na siebie. Krój stanika na arkuszu dodatkowym do N. 27—28 Tygodnika. Krój tuniki podług formy podanej w ostatnim kwartale 1874 r.

Na ryc. 1 mamy przedstawioną z przodu, suknię z letniego gładkiego i naśladującego haft materyjału w kolorze écru, zaś ryc. 2 przedstawia suknię z materyi czarnej, a tunikę i stanik bez rękawów z grenadyny przerabianej w deseń. Stanik, modną formą kirasową, z gładką przylegającą baskiną, przez całą długość z przodu zapięty na guziczki, ogarnirowany jest plisowaniem i ranwersem z gładkiego materyjału, od góry ranwers oszyty fryzką mającą z tyłu $4\frac{1}{2}$ cent. szer. a ku końcom stopniowo zwężoną. Rękawy ryc. 1 naszyte są trzema pliskami spiczasto zakończonemi i guzikami złączonemi; gładkie rękawy ryc. 2-giej mają mankiet z trzech plisek jedna na drugą zachodzących, ozdobiony zręczną kokardą, ułożoną z plisowania. Tunika przyozdobiona jest kieszonkami z gładkiego materyjału, mającemi po 17 cent. środkowej a 15 bocznej wysokości, 28 dolnej a 25 górnej szerokości.

Każda kieszonka ozdobiona 3-ma guziczkami. Spódnica ryc. 1-szej ogarnirowana jest 3-ma plisowanemi falbanami, pomiędzy które z przodu naszyty jest gładki kawałek z tego co tunika materyjału, mający 55 cent. wysokości, 58 dolnej szerokości, a z boków skośnie zcięty do 32 cent. szerokości górnej. Stanik i tunika oszyte także plisowaniem, na które do obydwóch sukien użyty materyjał gładki.

N. 3 i 12. Sukienka dla małej dziewczynki.

Biała pikowa sukienka, z odznaczoną tuniką, ozdobiona jest wstawkami i szlaczkami haftowanemi na batyście. Ryc. 12 przedstawia w naturalnej wielkości szlaczek atłaskowy i dodane nad niem wyszycie z sutaszu i ząbków z plecionki. Pod wstawką odznaczającą tunikę, trzeba wyciąć pikę.

N. 4. Bukiet i szlaczki haftowane kolorami: na poduszkę do kanapy, krzesła i t. p.

Materyjał: popielate lub szare płótno żaglowe, niebieska wstążka w mantynie 3 cent. szeroka, włóczka lila, pąsowa, niebieska, popielata, zielona i brązowa do cieniu, dwa najjaśniejsze cienie stanowi filozela i jedwab kordonkowy, filozela biała i żółta.

Bukiet przeznaczony na krzesło lub poduszkę odrabia się włóczką angielską i filozelą do cieniu, na płótnie żaglowem lub atłasie wełnianym, popielatego koloru, ściegiem długim dzierganym, sznureczkowym i supełkowym. Na krześle które przedstawi rycina 33 w N. 30 oprócz bukietu środkowego, dodane są dwa proste paski wyszyte podług próbki ryc. 4 N. 30 na wstążce niebieskiej filozelą pąsową i popielatą. Wstążka do tła przyszywa się ściegiem krzyżowanym, cieniem najjaśniejszym brązowym, a proste gałązki z listków cieniem trzecim z włóczki i filozelą brązową. Na ryc. 4 kwiaty są dziergane kolorem niebieskim, pąsowym, popielatym i lila do cieniu, liście cieniem zielonym z żyłkami odrobionemi ściegiem sznureczkowym, a kielichy zielone kwiatów ściegiem wypukłym czyli atłaskowym. Supełki w środku kwiatów robi się filozelą żółtą, korzonki orzechowe, a drobne listki jasno zielone i orzechowe do cieniu. W arabesce otaczającej bukiet kwiatki są popielate do cieniu, groszki pąsowe, arabeski brązowe a liście i gałązki zielone i orzechowe do cieniu.

Takie bukiety układane jedne za drugiemi, stanowić mogą bogaty szlak do portyjer sukiennych lub z ciężkiej materyi.

N. 5. Szlak w zęby do powłoczki ryc. 23 w N. 30 Tygodnika. Haft gipiurowy.

N. 6—7, 9—10 i 11. Wstawki i szlak wywodzone na tiulu.

Wszystkie te próbki odrobić można na tiulu, dobrym garnirunkowym lub łokciowym, ciętym w pasy podłużne, bawełną od haftu i nićmi płaskiemi, a następnie użyć do przyozdobienia sukien muślinowych, chusteczek lub t. p. Wyszycie idzie pośpiesznie a ładnie wykonane zastępuje koronki.

N. 8. Koronka z tasiemki koronkowej przyrabiana do tła tiulowego. Do garnirowania chusteczek, vêtement i t. p.

N. 12. Szlak haftowany do sukienki ryc. 3.

N. 13. Płaski kapelusz ubrany riuszami.

Kapelusz pleciony ażurowo ze słomy białej, czarnej, lub bronzowej, podszywa się materyją lub krepą kolorową i ubiera riuszą ze strzępionej materyi, układaną w podwójne kontrafałdy, która w koło główki ma $7\frac{1}{2}$, a od spodu rondka $2\frac{1}{2}$ cent. szerokości. Wstążka i kwiaty przypięte w sposób wskazany na ryc. 13 dopełniają sute ubranie.



N. 1—2. Suknia z tuniką której tylne bryty zachodzą brzegiem na siebie.

N. 3. Ubranie małej dziewczynki.

N. 14. Kapelusz z końcami z tiulu koronkowego.

Kapelusz biały z imitacyi bastu, ubrany wstążką 7 cent. szeroką i fijołkami białemi, tak fasonem jak rodzajem ubrania zastosowany jest dla dam poważniejszych. Pasek tiulu czarnego 100 cent. długi, w środku 5 cent. szeroki, ku końcom do 1 cent. zwężony, oszyty jest z dwóch stron koronką czarną lekko przyfałdowany i w koło główki przyszyty; na koronce upina się kwiaty i wstążkę w sposób na ryc. 14 wskazany. Dwa końce czarne tiulowe, koronką oszyte, u dołu skośnie ścięte po 85 cent. długie a 28 szerokie przypinają się z tyłu a lekko przewiązują pod brodą. Od spodu rondko podgarnirowane jest krepledą plisowaną, trochę z brzegu wystającą.

N. 15—16. Dwa desenie do haftu na poszewki lub chusteczki.

N. 17. Kapelusz okrągły.

W górę podwinięte rondo czarnego, bastowego kapelusza, mające $5\frac{1}{2}$ cent. szerokości, objęte jest pliską aksamitną, $1\frac{1}{2}$ cent. szeroką. Główka 7 cent. wysoka, otoczona jest skośnym, $10\frac{1}{2}$ cent. szer. w fałdy ułożonym kawałkiem czarnego aksamitu i przybrana dwoma czarnemi strusiemi piórami i białemi różami. Na podpięcie rondka potrzeba 140 cent. wstążki różowej broszowanej 9 cent. szerokiej i dwóch róż białych.

N. 18—19. Ubranie letnio z tuniką fartuszkową i kaftaniczkiem bez rękawów. Krój tuniki jak do ryc. 21—22 w N. 28 Tygodnika.

Na ryc. 18—19 podajemy z przodu i z tyłu zręczną tunikę i kaftaniczek z odmiennego materyjału i z odmiennym garnirunkiem. Ryc. 18 przedstawia suknię z gładkiego batystu écru z tuniką i kaftaniczkiem bez rękawów, z materyjału écru w deseń ażurowy, ze szlakami naśladującemi haft biały. Przyszycie lekko przymarszczonej, 7 cent. szerokiej falbanki, przykrywa wstawka haftowana $2\frac{1}{2}$ cent. szeroka, z brzegów w maszynie przystębnowana. Na szarfę w dwa pukle i dwa długie końce ułożoną, potrzeba 244 cent. wstążki bawełnianej, 16 cent. szerokiej w pasy białe i ciemno écru.

Na ryc. 19 widzimy tunikę i kaftaniczek czarny tiulowy białym muślinem podszyty a z wierzchu ozdobiony aplikacyją kwiatków i listków wycinanych z koronki, układanych w deseń odpowiedni, przyszytych jedwabiem czarnym, ściegiem sznureczkowym i ozdobionych dżetem. Wszędzie z brzegów z pod koronki, wygląda plisowanie muślinowe od spodu podszyte. Wykrój rękawów oszyty epoletą, mającą 13 cent. środkowej, a 6 brzeżnej szerokości.

N. 20 i 35 w N. 30 Tygodnika. Suknia z fartuszkową tuniką dopełnioną z tyłu brytem. Krój tuniki podług formy do ryc. 21—22 w N. 28 Tygodnika.

Model ryc. 20-tej odrobiony był z ciemno popielatego wełnianego materyjału broszowanego i w paski. Stanik kirasowy i tunika odrobione są z obydwóch materyjałów ciętych w pasy 8—10 cent. szerokie i zeszywanych; na tunikę pasy broszowane krają się skośnie i schodzą w ząb na środku przedniego bryta. Na prostym tylnym brycie spadającym luźno nakształt szarfy, a mającym 109 cent. długości, a 73 szerokości i na staniku, pasy idą podłużnie.

Tunika muślinem podszyta, ma środkowej długości 96 cent., a bocznej 65; ta ostatnia przyfałdowana jest do 24 centymetrów. Dolny, gładki pas tuniki ma od górnego brzega do środka 102 cent. długości. Tylny bryt w gó-

rze zfałdowany i do paska od tuniki wszyty, w środku długości jest w dwie 5 cent. głębokie fałdy zaszyty, nieco w bufę podniesiony i szarfą podpięty, w sposób na ryc. 35 wskazany. Rękawy zakończone są mankietem 8 cent. szerokim, ozdobionym paskiem i plisowaniem z materyjału w pasy. Okrągły stojący kołnierzyk jest także w paski. Szeroki wolant jest u dołu oszyty na 7 cent. szerokości materyjałem w pasy, a w górze zakończony dwoma bufami kilka razy przemarszczonemi.



N. 4. Haft na poduszkę i szlaczki do krzeseł, portyjer i t. p.

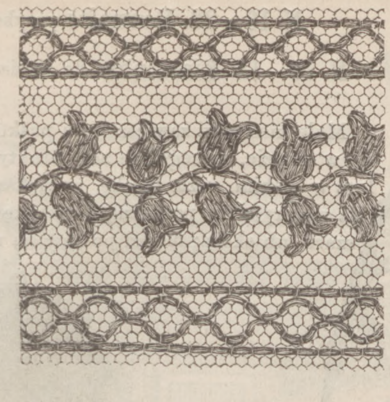
N. 21 i ryc. 34 w N. 30 Tygodnika Suknia z tuniką fartuszkową, zapinaną z tyłu. Krój jak do ryc. poprzedzającej.

Fason ten zarówno nadaje się do sukien wełnianych jak i letnich.

Na stanik i tunikę użyć można materyjału fabrycznie haftowanego jak to widzimy na ryc. 34. Tunika z przodu od dołu rozcięta, z tyłu zapięta jest na parę guzików, a poniżej przefałdowana i szarfami złączona. Rycina 21 przedstawia suknię popielatą, gładką wełnianą z tuniką w kratę. Spódnica ozdobiona jest dwoma plisowanemi, 14 cent. szerokiemi wolantami w kratę, nad któremi kilka razy przemarszczona bufa 10 cent. szeroka, jest gładka z nagłówkiem rurkowanym w kratę. Taki sam garnirunek jest przy rękawach. Tunika oszyta frendzlą do cieniu, 7 cent. szeroką. Kokardy przy staniku i tunice mogą być ze wstążki, albo z gładkiego materyjału sukni.

Na ryc. 34 widzimy suknię bastową z trochę odmiennym garnirunkiem, gdzie bufy w miejsce przemarszczenia, naszyte są rulonikami z materyi w kolorze écru, albo innym jasnym, stosownie dobranym. Z takiej samej materyi są szarfy i kokardy. Tunika ż lekkiej ażurowo wyrobionej tkaniny, ogarnirowana jest marszczonym, haftowanym wolantem.

Opis do N. 30.



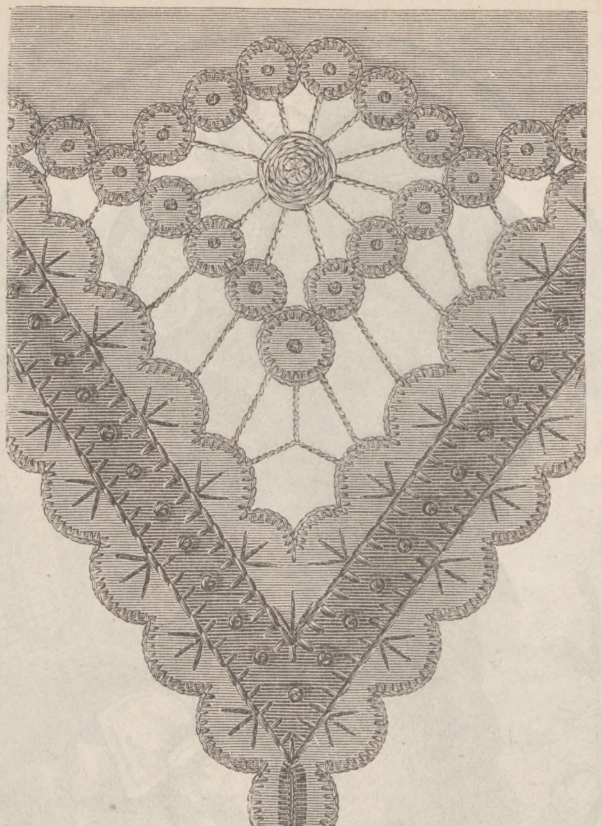
N. 6 Wstawka wywodzona na tiulu.

N. 1 i 41. Suknia z tuniką i chusteczką muślinową.

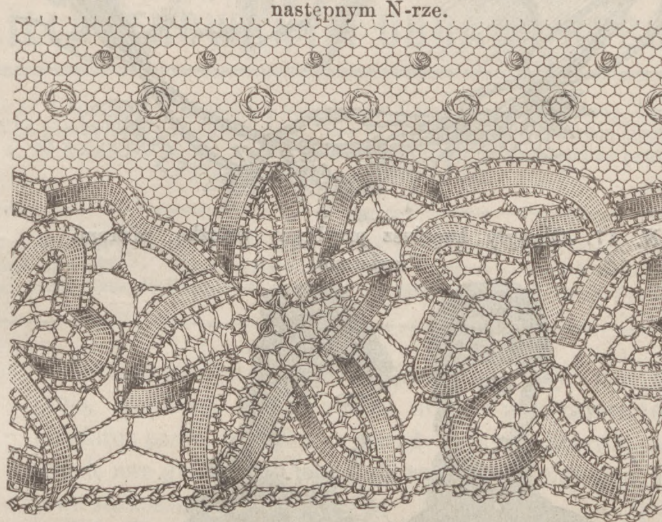
Rycina 1 i 41 przedstawia z przodu i z tyłu fartuszkową tunikę i chusteczkę z muślinu, włożone na kolorowej jedwabnej sukni ze stanikiem pod szyję i długiemi rękawami, na ryc. 1, a z wyciętym na ryc. 41. Przedni bryt tuniki, u góry 20 u dołu 60—65 cent. szeroki, zeszyty jest naprzemian z buf muślinowych 7 1/2 cent. szerokich i ze wstawek 5 cent. szerokich, wywodzonych glansownemi nićmi na tiulu. Wszywki środkiem bryta zakładane są w ząb. Boczne bryty tuniki są przy zszyciu z przodem trochę nadmarszczane; brzegi tuniki w około i boczne brzegi przedniego bryta zakończone są wstawką i muślinowym wolantem, jak na ryc. 1 lub riuszą muślinową i koronką wywodzoną na tiulu w deseń odpowiedni wstawkom, jak na ryc. 41. Karoczek dopełniający z tyłu tunikę, wymaga prostego kawałka, 104 cent. szerokiego, 46 długiego, trochę zaokrąglonego u dołu, który z boków wywinięty jest w ranwersy a od góry zmarszczony do 24 cent. szerokości. Chusteczka muślinowa z końcami krzyżującemi się z przodu, odszyta jest ze wstawki i pasków muślinowych danych podłużnie, lub z poprzecznej bufy i wstawek; brzegi otacza marszczona falbanka. Końce spinają się kolorową kokardą.



N. 13. Płaski kapelusz przybrany riuszą.



N. 5. Deseń zęba do poszewki którą podamy w następnym N-rze.



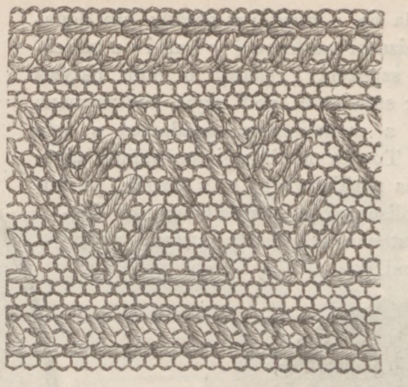
N. 8. Koronka z tasiemeczki przyrobiona do tła tiulowego, do vêtement, chusteczek i t. p.

N. 2. Sukieneczka z wyciętym stanikiem, dla małej dziewczynki. Krój podług ryc. 3 i 27 w N. 27.

Sukieneczka z batystu écru, ozdobiona jest wyszyciem z sutaszu białego i pliskami z piki białej. Na spódniczce z przodu dane są patki pikowe, z palmami wyszytemi sutaszem; mniejsze palemki zapełniają końce baskiny przy wyciętym staniczku o dwóch rzędach guzików.

N. 3. Sukieneczka ze stanikiem pod szyję.

Po nad obrębem pikowej spódniczki, 6—8 cent. szerokim, dane są trzy rzędy wyszycia sutaszem. Przy staniczku dane dwa rzędy wyszycia a z brzegów przystębnowane są wązkie haftowane ząbeczki. Ryc. 12 w N. 29 załącza wzór bardzo ładnego oszycia.



N. 7. Wstawka wywodzona na tiulu.

N. 4 i 5. Dwa szlaczki wyszyte jedwabiem na wstążce do ryciny 4 w N. 29.

N. 6—8. Trzy suknie letnie.

N. 6. Suknia z chusteczką.

Chusteczka składa się z dwóch prostych części, po 40 cent. długich a 10 i pół szerokich które z tyłu złączone są z sobą za rogi górne, zachodzące 1 cent. na siebie w ten sposób, iż brzegi podłużne i poprzeczne rozchodzą się w dwa trójkąty. Ażeby wykrój szyi miał dobrą formę wszywa się z tyłu między podłużne brzegi trójkąt 6 cent. mający. Tło chusteczki może być spajane z drobnych kwadratów, z jedwabnej kolorowej krepy i tiulowych, albo też złożone z plis muślinowych zachodzących na siebie.

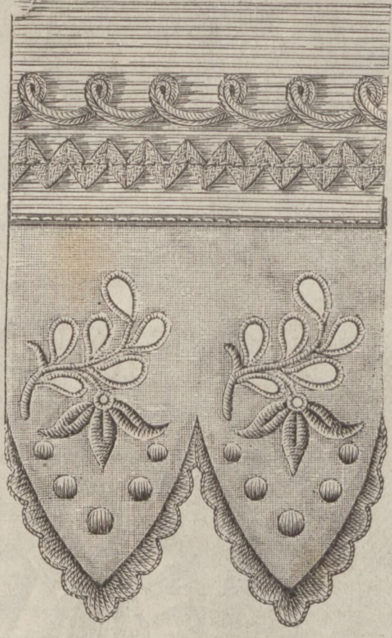
Wykrój szyi wszywa się w listewkę muślinową, przykrytą z wierzchu pliską jedwabną; stojące w górę plisowanie 4 1/2 cent. szerokie, dane jest z crêpe lisse. Kokarda zapinająca chusteczkę z przodu ułożona z krepy jedwabnej, ma jeden koniec prosty a drugi złożony z trójkąta 17 1/2 cent. długiego. Suta kokarda dopełniająca chusteczkę z tyłu, upięta jest z repsowej wstążki 3 cent. szerokiej. Na ryc. 8 podajemy tę samą chusteczkę z tyłu.



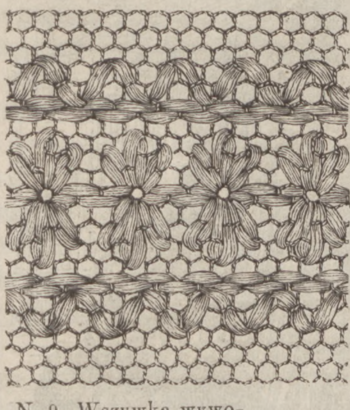
N. 14. Kapelusz z tiulowemi końcami.

N. 7. Suknia ze szmizetką muślinową i bufowanemi rękawami.

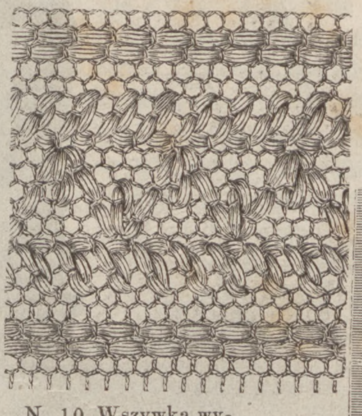
Jasny kolorowy batyst, kreton lub materyja jedwabna stanowić może materyjał na tę letnią suknię, z fartuszkową tuniką i stanikiem zapinanym z tyłu. Gustowne i modne od-



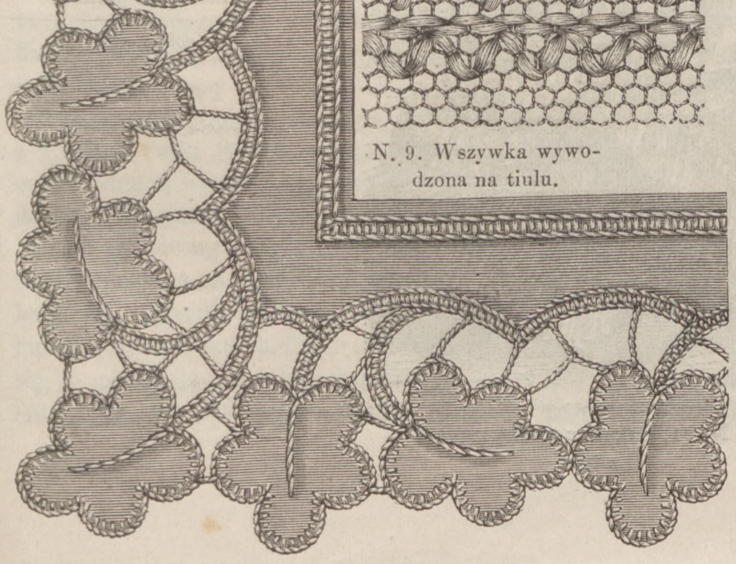
N. 12. Ząbki do sukienki ryc. 3.



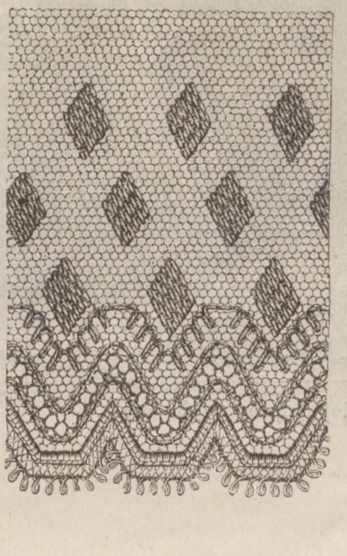
N. 9. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 10. Wszywka wywodzona na tiulu.



N. 15. Szlak haftem gipiurowym do poduszki którą podamy w przyszłym N-rze.



N. 11. Koronka wywodzona na tiulu.



N. 16. Szlak haftem dzierganym z podkładaniem tiulu Do poszewki którą podamy w przyszłym N-rze.

robienie stanika składa się z wszytej w przody lub dodanej na wierzchu szmizetki muślinowej w bufki i z takichże rękawów. Brzegi szmizetki i rękawy u dołu oszywa plisowanie muślinowe; suta kreza pod szyją podtrzymana jest w górę wstążką z medalijonem, spadającą z tyłu w długich końcach. Tunika ma brzegi ozdobione dwoma rzędami plisowania muślinowego, a z przodu po bokach odznaczone są plisowaniem dwie kieszonki. Dopełnienie przybrania stanowią kokardy z jasnej wstążki z ciemnemi szlakami.



N. 17. Okrągły kapelusz przybrany wstążką, piórami i kwiatami.



N. 18. Koronkowa tunika i kamizelka. Plecy do ryc. 19.

N. 8. Suknia ze stanikiem z bawetem, sznurowanym z tyłu. Krój stanika podany był przy ryc. 33 w N. 10.

Stanik z bawetem sznurowany z tyłu, ma rękawy bufowane, ścięte wązko przy ręce i dopełnione odpowiednio do chusteczki, mankietami z muślinu i koronki. Fartuszkowa tunika zakończona marszczoną falbanką, dopełniona jest z tyłu szeroką szarfą, którą odpowiednio do gustu odszyć można z materyjału sukni lub upiąć z szerokiej repsowej wstążki. Chusteczka muślinowa opisana jest przy ryc. 6.

N. 9. Kapelusz ogrodowy.

Oryginalny lecz praktyczny, bo dobrze zasłaniający od słońca, kapelusz bastowy, ma owalną główkę 4 cent. wysoką i rondko 10 cent. szerokie, wygięte z tyłu i z przodu i podszyte pąsową materyją; brzegi oszyte drucikiem obejmuje pąsowa taśma. Główka opasana jest skosem z pąsowej materyi 10 cent. szerokim, 70 długim, upiętym z tyłu główki w kokardę. Nie przecięta wstążka spadająca z pod rondka liczy 125 cent. długości a 3 szerokości; do utrzymania kapelusza służy elastyka.



N. 20. Suknia z tuniką fartuszkową dopełnioną z tyłu brytem prostym.

N. 21. Suknia z tuniką zapiętą z tyłu.

N. 10—23. Rozmaite przybory podróżne.

N. 10—11. Kieszonka do zawieszenia przy pasku.

Małe kieszonki zawieszone u pasków ciągle utrzymują się w modzie, szczególnie zaś praktyczne są w podróży lecz w takim razie trochę powiększają swoje rozmiary. Za materyjał na podróżną kieszonkę służy mocne płótno szare lub skóra; model podany na ryc. 10 odszyty jest



N. 19. Koronkowa tunika i kamizelka. Przód do ryc. 18.

z szarego płótna i ozdobiony wyszyciem z pąsowego kordonku. Tylna ścianka wraz z wywiniętą klapką liczy 18 cent. długości a 13 szerokości przednia jest 11 ½ cent. długa; pasek boczny łączący obie ścianki liczy 31 cent. długości, 4 w środku a 3 cent. szerokości w końcach. Desenie wyszyty kordonkiem załączamy na ryc. 11. W środek kieszonki dodaje się podszewka z cieńszego płótna, która dopasowywa się z każdą częścią oddzielnie; szwy łączące ścianki przykrywa z wierzchu naszyty sznureczek. Trzy kwaściki jedwabne spadają od zwierzchniej klapki, do zawieszenia służy podwójny sznureczek z pentelką za którą przypina się do paska.

(dok. nast.).